

ADRAR n'DEREN

POLSKA WYPRAWA ALPINISTYCZNA

W WYSOKI ATLAS

KRAKÓW 1935

Moni

97/100

1/4 938

200



W GLEBI AIT MIZAN

Fot. J. K. Dorawski

ADRAR n'DEREN

POLSKA WYPRAWA ALPINISTYCZNA
W WYSOKI ATLAS 1934

PRACA ZBIOROWA

POD REDAKCJĄ

JANA A. SZCZEPAŃSKIEGO

(OPISY — WSPOMNIENIA — SPRAWOZDANIA
4 ROTOGRAWURY, 7 MAP i 20 FOTOGRAFII)

KRAKÓW 1935

NAKŁADEM ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Osobne odbicie z czasopisma «Taternik»,
organu polskiego klubu wysokogórskiego

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

«Korzenie Adrar n'Deren dochodzą do głębin ziemi, a szczyty wznoszą się do nieba i napętniają przestrzeń swoim ogromem».

Ibn Chaldun, historyk arabski z XIV wieku, o Wysokim Atlasie.

EGZOTYZM I GOŚCINNOŚĆ

Dwie polskie wyprawy alpinistyczne, które wyruszyły w tereny wysokogórskie pozaeuropejskie, aby zerwać pierwsze laury w dążeniu ku nieznanym jeszcze szczytom górskim świata, mogą słusznie cieszyć się tem, że towarzyszył im element odkrywczy, pragnienie poznania krajów i wielkich przestrzeni, na których nigdy jeszcze nie stanęła stopa Europejczyka.

Wyprawa w Atlas może pozatem poszczycić się także podejściem do jednego z ostatnich egzotyzmów, dotychczas ukrywających się przed okiem cywilizowanego świata. Teren bowiem, na którym wyprawa polskiego klubu wysokogórskiego działała w czerwcu, lipcu i sierpniu 1934 r., aż do ostatnich lat był księgą zamkniętą dla geografa i turysty. Broniła go pamięć niedawnych walk, na nim stoczonych, tajemniczy egzotyzm ziemi niczyjej, bo zaludnionej przez prastare plemiona górskie Berberów, a wziętej w posiadanie przez Arabów, zaciekle trzymających się tych ostatnich placówek swojej niepodległości.

Mitraljezy europejskie wtargnęły niedawno w głąb tej ziemi rozległej i spalonej od słońca, ustępując odrazu podbojowi nawskróś pokojowemu. Miejsce ich zajęły narzędzia tak niegroźne dla życia ludzkiego, jak stolik kartograficzny, czekany i liny. A używać ich pozwolili Polakom ci, którzy kraj ten, a raczej wrota do niego, opanowali w drodze militarnej. Francuzi umożliwili polskim turystom uczynienie pierwszego kroku na ziemi zdobytej własną krwią.

I dlatego w paru poniższych słowach nie mam zamiaru akcentować nieporównanego egzotyzmu zakątka kraju, który nasi taternicy oglądali pierwsi z Europejczyków, nie chcę zajmować się owemi przyjęciami w starożytnych kazbach, któremi ich goszczono, prymitywami ludowych tańców berberskich, których przed naszymi turystami nie widziały prawie oczy cywilizowanego człowieka, owym całym fantastycznym, upojnym i drażniącym egzotyzmem — ale pragnę w paru słowach wyrazić wdzięczność zdobywcom wojskowym gór Wysokiego Atlasu, którzy uczynili gest tak wspaniały wobec synów za-przyjaźnionego narodu.

Uprzejmość i gotowość pomocy, jaką spotykaliśmy na terenie Marokka zarówno ze strony decydujących, jak i podwładnych czynników kraju — była zaiste zdumiewająca i godna podziwu. Na terenach, na których pragnęła się poruszać polska ekspedycja alpinistyczna, jeszcze w kwietniu 1932 r. toczyły się walki zawzięte, a w chwili, kiedy zwiedzali je Polacy, pacyfikacja jeszcze nie była całkiem dokonana. Cóż łatwiejszego było, jak — pod jakimkolwiek bądź pozorem — wzbronić wstępu obcym, a potem zorganizować

wać wyprawę swoich w tę ostatnią oazę egzotyzmu i jeden z ostatnich niezbadanych dotychczas kawałków globu ziemskiego u samych wrót Europy.

Tak nie uczyniono. Przeciwnie, służono chętnie radą, pomocą, informacją. Od generała aż do porucznika, aż do brygadjera, dowodzącego eskortą. Dbano nietylko o sukcesy geograficzne i sportowe wyprawy, ale także o bezpieczeństwo jej uczestników. Zachowano się więcej niż po przyjacielsku. Przez cały czas trwania wyprawy Francuzi byli dla nas rycerskimi i serdecznymi gospodarzami, raz jeszcze stwierdzając siłę tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej.

KAZIMIERZ PIOTROWSKI

DŻEBEL TUBKAL

... Na prawo są Uenkrimy, na lewo Tubkal. Entuzjazm doradza zacząć od «rajdu gwiazdowego». *O oznaczonej godzinie spotkamy się na wierzchołku.*

Wierzchołek, to naturalnie Tubkal. Zaatakujemy go ze wszystkich stron. Najwyższy szczyt musi być w jakiś sposób uprzywilejowany.

Od Przełęczy Uanums rozciągają się żebra i granie Tubkalu aż chyba po przełęcz, którą nazwaliśmy Przełęczą Aferrui. Tubkal, Imus-zer, Aferrui, Tiheiri — rychło brzmienia tych nazw przestają być martwym zespołem liter na mapie, i stają się żywym tworem, pojęciami obłeczonemi w skalne ciało i tętniącemi białą krwią śniegu.

A przekonuję się, że dla każdego z nas tak samo jak dla mnie, Tubkal nabral szczególnej treści. Bo gdy po długiej podróży i nerwowym wyczekiwaniu pogody nastął wreszcie dzień ataku na szczyty, wszyscyśmy wyruszyli przedewszystkiem w masyw Tubkalu.

Wieczorem dzielimy się doświadczeniami i wrażeniami. Tubkal? Ależ naturalnie, i nową drogą, żlebem przez sam środek południowej ściany. Dużo śniegu, dużo mokrych skał, trochę mgieł i trochę braku aklimatyzacji. Ów, który znał dotychczas tylko Tatry, chwali się, że nie odczuwał wogóle różnicy wysokości. Inny narzeka na kask kolonialny, że haniebnie zawadza przy wspinaczce. Mnie nie chcą uwierzyć, iż zdobyliśmy nieznaną i dziewiczą turnię o przeszło stu metrach względnej wysokości (rekompensata za szczyt Tubkalu, do którego nie doszliśmy).

— Idźcie i przekonajcie się!

Nie chcieli.

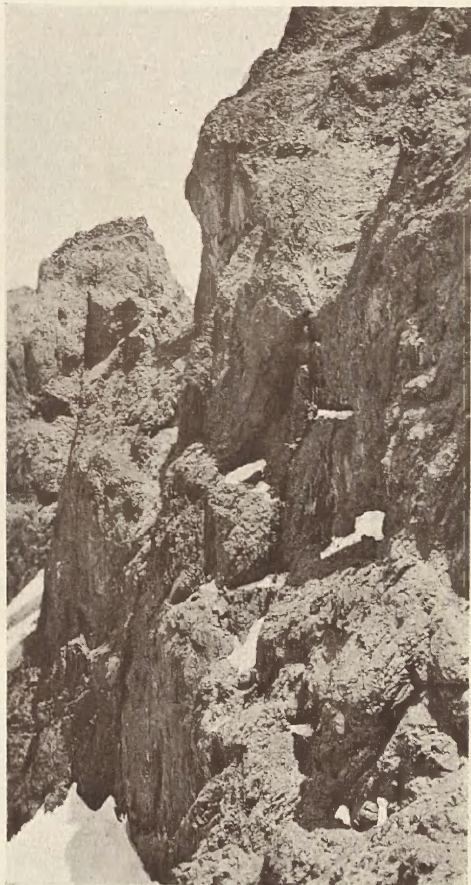
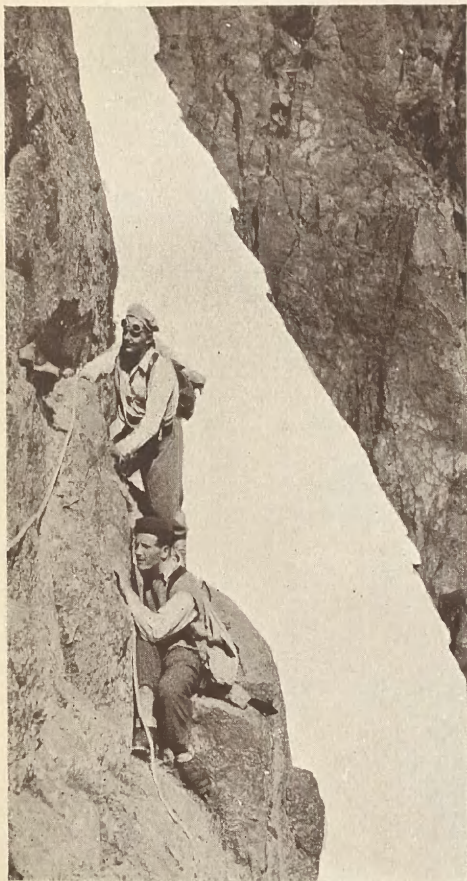
Ale dwóch niewiernych Tomaszów musiało uwierzyć, gdy na fotograficzną kliszę ulowiło «naszą» Turnię Aferrui w całej okazałości. To było w parę dni później, gdy z Dorawskim i Gorskim szedłem znowu na szczyt Tubkalu, tym razem przez Tikint n'Uanas. Szedłem, i znowu nie doszedłem. Na nic się nie przydała efektowna rynnna śnieżna w północnej ścianie Tikint, ani powietrzny uskok jego bloku szczytowego: doszliśmy tylko do Dżebel Imus-zer, i jazda wdół. Towarzysze mieli czekany i spłynęli po śniegu jak bobsleje, ale ja musiałem schodzić, wściekać się i schodzić. Dolina była w słońcu biała, a w śniegu szafirowa. Przed słońcem chroniłem się haik z ręcznika, tatrzański sweter wdziewałem, gdy szedł cień. I wypowiadałem poglądy, że wszyscy bez wyjątku powinniśmy wejść na wierzchoł najwyższy.

Ale gdy znów minęło kilka dni, i na Tubkal wspięli się rudą ścianą Golec i Groński, mnie znowu pomiędzy nimi nie było.

A potem zachorowałem, zmogło mnie słońce Atlasu (wielkie słowo!).

W PÓLNOCNEJ ŚCIANIE TIKINT N'UANAS

Fot. J. K. Dorawski



PÓLNOCNO-WSCHODNIA ŚCIANA
AMCHARAS N'IGLIUA

Fot. J. Kielpiński

Aż niedługo przed odmarszem z Ait Mizan dowlokłem się i ja ostatni na szczyt, i z szerokiego plateau spojrziałem w przestrzeń, która była niższa. Droga, jakiej poszukałem sobie w ciężkim wysiłku woli i jeszcze chorych mięśni, nie była trudna. Ani mnie szlak haków nie prowadził, ani nie ubezpieczała napięta lina. Łatwe żlebki, grzędki i żebra wiodły pod granią na górny grzbiet. Bałucha posadu szczytowego była przysadzista, babiogórska. Śnieg roztopiał się w słońcu jak widok. Otwarte zbocze wskazywało najprostsza drogę powrotu.

Ale przestrzeń była zupełnie obca, tajemnicza. Zużyte, zmurszałe ściany, i żeby o białej pleśni, stały na kamienistym, jałowym wyżu, spalonym pionowem słońcem. Zielone morskie oko Ilni jak szot parowało z brunatnej doliny i było jedyną namiastką chlorofilu w obrazie. A spoza rdzawych, bliskich skał, powiązanych śniegiem, wyrastały zwietrzałe, geometryczne stożki, wrzące Sirua północnej Sahary. Przejście było egzotyczne i tropikalne.

Na obszernym płaskowyżu szczytowym trójką mierniczy mówił o poprzednikach. Ale w tej afrykańskiej przestrzeni nie było wyższego znaku. Więc trzeba tu było przyjść. Bo czyż alpinizm nie jest religią oddali i wysokości?

JAN A. SZCZEPAŃSKI

DŻEBEL AMCHARAS N'IGLIUA

Potężną ścianą spada przeszło czterotysięczny Amcharas n'Igliua ku Dolinie Ait Mizan. Dolne jej urwiska świecą stromizną płyt i przewieszek, przez które znaczą się dwa czarne ścieki wodne. Górne partje wyglądają już znacznie łatwiej — ale dół? czy człowiek zdoła przejść tamtędy?

W trójkę podążaliśmy wczesnym rankiem wzdłuż potoku, wijącego się doliną. Dorawski, Golcz i ja. Opuściwszy w górnych partjach doliny niki, ciągle gubiącą się ścieżynę, dążącą ku głębokiemu siodłu Tizi n'Uagan, zwolna posuwaliśmy się wśród niezmiernych złomisk i piargów w kierunku stóp ściany.

Godzina 8.15 pod ścianą. Jeszcze przedtem, z pewnej odległości, rzut oka na teren naszej dzisiejszej walki ze skałą. Przez dolne, pionowo skrzęsane urwiska, sączy się woda dwiema czarnymi smugami. Prawą z nich ma wieść nasza droga; lecz w górze jej świeci coś jakby lód. Lód na takiej ścianie może stanowić zaporę niedoprzebycia.

Pod ścianą krótka narada, związanie się linami, ostatni papieros czy fajka — i wejście w skały. Idę jako pierwszy. Spoczątku dość łatwo, tylko skała ogromnie krucha; wszystko, czego się człowiek czepia, ma ochotę powędrować wdół. Obawa, aby nie stracić głazów na stojących pod ścianą towarzyszy, zmusza do ogromnej uwagi. Mimo to jednak lecą drobne kamienie, z których jeden celnie trafia Dorawskiego w ramię.

Klucząc pomiędzy ruchomymi głazami po szutrem przysypanych półleczkach, pokonujemy pierwsze kilkadziesiąt metrów. Ponad nami zupełnie pionowa, bez żadnych punktów zaczepienia ścianka — wprost nie puści, więc trawers w lewo. Trawers po skąpych stopieńkach, ociekających wodą i pokrytych lodem, jest niezmiernie trudny: ręce i nogi, obute w trzewiczki, ślizgają się po lodzie.

Po długiej dopiero chwili stoimy poza trawersem na dobrym stopniu.

W górze, nieco na lewo od linii spadku ścieku wodnego, ściana roz-

cięta wąską rysą. Ponad nią przewiesza się, a na przewieszkach widnieją wielkie sople czystego lodu.

To będzie najtrudniejsza część naszej drogi!

Dojście do rysy zamyka pionowa ścianka, którą przejść trzeba na samych rękach; decymetr po decymetrze wznoszę się w górę — trudności bardzo wielkie.

Ale po chwili stoję w rysie i wbijam hak. Skala wokół ogromnie krusza, wszystko, czego się chwycić, rusza się i wylupuje.

Podciągam się wgórę na rękach i głaz, który mi służył jako chwyt, leci w przepaść. Po drodze uderza o linę — lina zostaje nadcięta. Trzeba się zatem przewiązać poza miejscem, w które ugodził głaz; niezmiernie to trudno uczynić, stojąc końcami palców na małym stopieńku i trzymając się chwytu, który wyraźnie zdradza ochotę powędrowania w ślad poprzednika. Po dłuższej dopiero chwili i przy pomocy jednej ręki i zębów udaje mi się to uskutecznić.

Idę dalej. Biję znów hak, potem drugi i trzeci. Dorawski dochodzi do mnie. Po pewnym czasie rysa się kończy i staję nad przewieszkami. Dalsza droga wydaje się niepodobieństwem. Skala okuta lodem, ze wszystkich punktów, które mogłyby służyć jako chwyt czy stopnie, zwisają wielkie sople lodu.

Czy zawrócić? Powrót nie byłby łatwy, a zresztą ambicja i chęć pokonania ponurego urwiska nie pozwalają się cofnąć. Więc wgórę! Zrębuję powoli sople lodowe; bryzgi lodu lecą na mych towarzyszy. Oczyszczam jeden stopieniek i drugi, i w ten sposób zyskuję nowe pół metra wgórę. I znów to samo; praca niezmiernie wyczerpująca, ręce mdleją i marzną od lodu i spływającej z góry wody.

A ponademną, w odległości zaledwie kilkunastu metrów, widnieje już teren znacznie łatwiejszy. Byle tam dotrzeć!...

Wywinąwszy się popod przewieszkę, stanąłem na stopieńku na dnie samego ścieku wodnego. Woda zalewa twarz i ręce — czuje, że niedługo wytrzymam w tej sytuacji.

Kilka desperackich, ogromnie trudnych podciągnięć, gdy ręce i nogi nie mogą znaleźć prawie żadnego oparcia na zalodziałych chwytach i stopienkach, chwila gdy wszystko stawia się na jedną kartę i... przewieszki zostają podemną.

Stoję w depresji powyżej dolnych urwisk ściany.

Długo odpoczywam, zanim mogę rzucić w kierunku moich towarzyszy krótkie: «chodź!»

Wolno przesuwają się lina przez owal zaczepionego o hak karabinka; teraz towarzysz walczy podemną z trudnościami przejścia. Dochodzi do mnie i razem wyciągamy worki. Są bardzo ciężkie, trzeba się też zmordować nad tem niezgorzej.

Dalsza droga już łatwa; o godzinie 12-tej, po czterogodzinnej walce ze skałą, lodem i wodą, stajemy na wierzchołku. Uścisk dłoni — pada suche określenie taternicze: droga nadzwyczaj trudna, piękna i eksponowana. Jak później miałem się przekonać, była to najpiękniejsza i najtrudniejsza wspinaczka, jaką zrobiłem w Atlasie.

Widok ze szczytu wspaniały, ogromnie rozległy. Na pierwszym planie, ku zachodowi, śmiało zaznacza się potężna piramida Tubkalu, a wokół niego morze wierzchów i turni. Poza wierzchołkami Wysokiego Atlasu, widnieją ku północy błękitne pasma Dżebiletu i Atlasu Średniego, ku południowi zaś i południowemu zachodowi Anti-Atlas.

A daleko, daleko na samym krańcu horyzontu, znaczy się wąski pas koloru sino-szarego: to Ocean Atlantycki...

Krótko przebywamy na szczycie: czeka nas jeszcze dziś, przed zejściem do obozu, długa wędrówka granią. Przed zejściem ze szczytu pozostawiamy wizytówki, na których wpisano: «*Expédition alpine polonaise au Haut Atlas — I. ascension par la face Nord-Est, 26/VI. 1934...*»

ZBIGNIEW KOROSADOWICZ

DŻEBEL INCHEMAR

Skończyły się wspinaczki w grupie Tubkalu i w gniazdach jemu najbliższych. Po tygodniu pobytu na wysokości ponad 3100 m schodzimy odrazu na 1800 m. Gorąco znacznie większe, niż «u nas» pod Tubkałem. Tu smażymy się żywcem.

Pod wieczór, po całodziennym marszu docieramy do doliny Imminen. Na wysokości około 2300 m rozbijamy obóz Nr. 3. Następnego dnia krótkie rekonesanse w najbliższej okolicy. Na ich podstawie układamy program na następne dni. Dorcio, Bolek, Jurek i Korosad otrzymują do obrobienia grupę Likumt-Aksual. Pozostałe dwa Jajany, Kit i ja — Inchemar. Justyn pilnuje obozu i nogi.

Dnia 29 czerwca wyruszamy w czwórkę na Tizi n'Taszdirt. Tu dopiero możemy ustalić program szczegółowy. Jajany pójdą północną granią na Inchemar Zachodni, Kit zaś i ja zaatakujemy północną ścianę najwyższego, Inchemara Wschodniego. Dowidzenia!

Podchodzimy do stóp naszej ściany długim trawersem w lewo. Główna grań Inchemara mierzy przeszło kilometr długości, a najwyższy jej wierzchołek leży na wschodnim krańcu grani. Wkrótce zaczynają się skałki. Przewijamy się przez nie, wykorzystując półki i kominki. Wreszcie głęboko pod sobą spostrzegamy główny żleb ściany. Udaje się nam zejść do niego. Dno przeważnie pokryte śniegiem. Zakładamy okulary. U stóp żlebu pasie się stado owiec i kóz. Dwaj pasterze widzą nas i spewnością dziwią się. Cóż za obyczaj mają ci biali ludzie. Próbują iść do góry w krainę, gdzie niema nic prócz skał i śniegu. Poco? Tam przejścia niema.

Dziwni ludzie jednak uparcie dążą wyżej i wyżej. Żleb dzieli się nibawem na kilka ramion. Które z nich wybrać? Grań szczytowa w porównaniu z ogromem ściany wydaje się nieledwie pozioma. Niesposób rozpoznać, gdzie główny wierzchołek. Kilkudziesięciometrowe różnice wysokościowe na grani nie mogą być widoczne zdołu, z miejsca położonego o kilkaset metrów niżej. Pragniemy wejść o ile nie na główny wierzchołek, to na grań pomiędzy wierzchołkami. Zatem, o ile pójdziemy w lewo, lub wprost w górę, to z uwagi na długi trawers u stóp ściany, możemy wyjść już poza głównym wierzchołkiem. Idziemy więc w prawo. Skała przedziwna. Mozajka warstw białych, czerwonych, zielonych. Zbieram kamienie. Ucieszą się niemi geolodzy, którym obiecałem przywieść jaknajwięcej okazów.

Nachylenie ściany rośnie. Ekspozycja duża. Dno żlebu zajmują strome śniegi lub siklawy. Posuwamy się więc prawą grzędą. W pewnym miejscu ścianę przegradza próg, który obchodzimy dość trudno w prawo. I znów trawers w lewo. Teraz labirynt półek. Nad nami to już chyba grań. Jeszcze kilka metrów. Ostatnia ścianka i jesteśmy na grani. Orientujemy się, że główny wierzchołek znajduje się na lewo od nas. Będzie to pewnie ta turnia o kilkadziesiąt kroków oddalona. Wygląda na łatwą.

200 metrów niżej nas na północnej grani jakicś głosy. Po chwili spo-

strzegamy dwie postacie przewijające się wśród skal. Jajany! Leci zapytanie: *Comment ça va?* A potem pierwsze słowa naszego hymnu:

«Ej, cóż to za Syfony,
Ej, cóż to za Jajany...»

Zostawiamy plecaki i linę. Turnia, którą uważaliśmy za wierzchołek, wnet zrobiona. Spostrzegamy jednak o 200 m ku wschodowi jeszcze wyższe wzniesienie. Zatem to dopiero będzie główny wierzchołek, a my zapewne stoimy na Inchemarze Środkowym (3860 m). Mozolnie pokonywamy turniczki, uskoki, stopnie i siodełka. Wreszcie szczyt. Szczyt? Nie. Jest jeszcze coś wyższego przed nami. Jak długo potrwa ta zabawa w ciuciubabkę? Czy zdążymy przed wieczorem spowrotem do plecaków?

Skaly piętrzą się groźnie, a my nie mamy nawet liny. No, trudno, spróbować trzeba. Schodzimy na siodło. Uskok grani wydaje się niedostępny. Obchodzimy go w prawo, potem w górę na piąterko pod turnią szczytową i znów w prawo na grzędę i nią dość trudno i w ekspozycji na grań. Jeszcze jedno siodełko i wierzchołek. O dziwo! Przed nami niema już nic wyższego. A jużesmy się przyzwyczaili, że w takich razach inaczej bywało. Na Inchemarze Zachodnim widzimy odcinające się na tle nieba sylwetki Jajanów. Ale wkrótce znikają. Jest późno, ale my mamy czas, zamierzamy bowiem nocować na grani. Przyglądamy się widokowi. Ku zachodowi Tubkał z wszystkimi swoimi adherentami; ku wschodowi długo, długo nic, same naogół niewysokie bałuchy, a potem znów coś dla nas. Wysokie masywy o przeróżnych kształtach, M'Gun. Gdzie też jest ta biała plama na mapie, która nas tak przyciąga ku sobie?

Jajany dawno znikły, a my też rozpoczynamy odwrót. Linaby się moeno przydała. Ó, jak ładnieby tu się zjechało! A tu taki śliczny blok do aseku-racji. Nic z tego, trzeba się obejść smakiem. Znów przechodzimy całą grań i schodzimy na Tizi n'Inchemar przed Dżebel Taszdirt. Zmrok nadchodzi. Trzeba znaleźć miejsce na biwak. Na wschód od przełęczy ciągnie się duże pole śnieżne. Wyływa spod niego potok. Tam zanocujemy. Będzie woda bez uciekania się do topienia śniegu. Wyszukujemy kawał suchej murawy, możliwie mało nachylonej. Kit z resztek zapasów wyczynia jakieś przedziwne frykasy, ja kombinuję jak będzie najlepiej spać. Po kolacji włączymy do śpiwora i udajemy, że śpimy. Potwornie zimno. O świcie konstatuję, że potok prawie całkiem zamarzł. Sączy się tylko mała strużka wody.

Przed wschodem słońca ruszamy. Dżebel Taszdirt, przełęcz, Dżebel Ige-nuan, i znów nadół. Na grani cuda. Na samem ostrzu sterczy mnóstwo iglic wyglądających jak Dolomity w minjaturze. Penitenty skalne. Docieramy do stóp Donicy. Jej wschodni uskoki niezrobiony. Wartoby go machnąć. Piszą, że niedostępny, więc pokażmy, że jest inaczej. Lina, trzewiczki, haki — zabrane, plecaki zostają. Dwie długości liny bez przerwy w bardzo trudnej i mocno ekspozowanej wspinaczce, i turnia nasza. Po marnie przespanej nocy ogarnia nas lenistwo. Łube ciepło, po rannym chłodzie, zaprasza do po-hudniowej drzemki. Nie żalujemy jej sobie. Potem dalej na Przełęcz Likumt. Dalej iść granią nie damy rady, trzeba już wracać do obozu. 1200 m wdół po usuwających się złomiskach przy 57° C to gruntowny przedsmak piekła. Wreszcie kwadrans przed obozem woda. Jak dobrze. Człowiek odżywa na-nowo. Ostatnich kilkaset metrów lekko wdół i obóz. Wszyscy już wrócili. Eksploracja grupy wschodniej Masywu Centralnego Wysokiego Atlasu skoń-czona. Teraz kolej na M'Gun.



AGUDEL N'MZIER I AMCHARAS N'IGLIUA Z TIKINT N'UANAS

Fot. J. K. Dorawski

JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ ALBO DŻEBEL LIKUMT

Wysoki Atlas. Gorący, skwarny dzień, monotonny, podobny zupełnie do wczorajszego i niewątpliwie identyczny z jutrzejszym.

Zmęczeni, zgrzani, zostawiamy zbędny na wspinaczkę sprzęt pod wielkim blokiem skalnym. Pod względem wysokości — 3400 m — miejsce na biwak doskonałe, ale jeśli chodzi o wygodę?

Ostatecznie, niema właściwie żadnego powodu, by uskarżać się na ten przyszły biwak, na kamieniach w mrozie afrykańskiej nocy, obok pól śnieżnych. Toż tam na dole, na tej czerwonej, spalonej ziemi w namiocie obleżonym przez robactwo, nie byłoby lepiej. Czy tu, czy tam, dobry sen pozostanie jedynie nieziszczalną nadzieją.

Bрудna woda zwolna kapie na błotnistych trawkach. Tędy trzeba się wspiąć, bo to, według zdania jednego z kolegów, najłatwiejsze podejście. Ponieważ gdzieśindziej byłoby tak samo, niema powodu do klótni.

Zwolna zamieniam się w żabę oblażłą błotem. Godzę się z tym faktem bez trudu, bo to przecież dla celów wyższych — toż za chwilę będziemy się chlubić naszą nową, wspaniałą drogą.

A pozatem? Tatarnicy nierzadko przypominają raczej zmokłe kury, niż ludzi, alpinisci stają się podobni do białych bałwanów, — pardon, upiórów — których żadna miotła oczyścić nie może, dlatego więc atlasowcy nie mają przypominać żab wynurzonych z najwspanialszego bajora bagnistej wsi?

My, marokańczycy, wiemy zresztą dobrze, że jedynie w starym kraju ludzi wyglądających jak my, określa się mianem «skąpanych w błocie». Tutaj nazywa się to znacznie poetyczniej, a jednocześnie w sposób dający ogromną dozę wewnętrznego zadowolenia, mianowicie: «oblani nimbem egzotyku».

Nareszcie ściana. Taka sobie zwykła tatrzańska, tyle, że czerwona. Korzystając z obowiązkowego odpoczynku, ktoś coś wciąga, a reszta albo pije, albo szykuje się do losowania.

Dobre wychowanie i niemniej dobrze pojęta koleżeńskość wymagają, by nie przeskakać towarzyszącom w ich zajęciach na odpoczynku. Spokój bowiem jest konieczny dla dobrego wykonania tak ciężkiego zadania, jak zdobycie dziewiczej jeszcze ściany.

Ale jeśli wymaga się niewtrącania w cudze sprawy, to jednocześnie nie trzeba, by inni interesowali się mojami.

Z tego założenia wychodząc, oraz wzięwszy pod uwagę, że nie mamy «chef de cordée», który miałby jakieś prawo do oponowania, włączę spokojnie w ścianę.

Wspinaczka idzie gładko, ale 20 metrów wyżej zatrzymują mnie jakieś nadzwyczajne i absolutnie niezrozumiałe pogłosy. Siadam jak na stole na ogromnej taflę 10×10 cm i z ciekawością spoglądam w dół.

Gwałtowne gestykulacje, dziwnie wykrzywione oblicza, postacie raczej do kozlich, niż do sportowych podobne. Czy słowa staną się czynem? Spoglądam sobie cichutko zgóry, aż tu widzę — wścicka awantura zwrócona jest akurat w moją stronę!

Z gniewnego chaosu ktoś wreszcie decyduje się na kilka spokojniejszych słów. Do wszystkich Berberów świata! Wynika z nich, że ci wdole mają do mnie jadowite pretensje, zato, żem się pierwszy wziął w skalę.

Ma to być pono skandal nie do darowania!

...Dyskretnie oglądam się dokoła. I błogi spokój znów mnie ogarnia. Bo zanim moi towarzysze osiągną mnie, minie kawałek czasu. I znowu będę mógł zwać wyżej wgórę. Oddech z przyspieszonego przechodzi w normalny.

Chwilowo jestem bezpieczny, ale co będzie dalej? Toż na biwaku rozjuszeni rywale dogonią mnie niewątpliwie, a bój jednego przeciw trzem byłby beznadziejny. Ha, trudno, nie widzę innego wyjścia, jeno przemienić się w dyplomata i rozpocząć pertraktacje. «Ja przecież nigdy... ja tobie przecież wleady leż nic nie mówilem, przeciwnie, odrazu przystałem na trzeciego...» I tak dalej, aby tylko zabezpieczyć się, a przecież pozostać przy swoim.

Ostatecznie zawieramy ugode, mocą której ten najmilszy, ten, co to ma być ze mną na linie, podchodzi do mnie. Raz za razem rzucam mu linę. Moje gratulacje przybierają formę pamfletu, gdy ją wreszcie łapie po 27 rzucie.

Teraz przez pewien czas, bez dalszych dywersyj, wspinamy się gładko i równo, jak konie przy jednym dyszlu. Ale potem drogę zagradza nam jakaś «strasliwa i przerażająca» przewieszka. Pięć dobrze wbitych haków, wydaje mi się przez chwilę wystarczającą gwarancją, później jednak ogarniają mnie wątpliwości. Toż podobno w Tatrach zejście poniżej 10-ciu w tak śtyrbnym miejscu uważa się za karygodną lekkomyślność. Trzeba zaciągnąć rady fachowca *ès akrobacja tatrzańska*:

Ja: Czy dosyc tych haków?

On: Możliwe, jeśli dobrze wbite.

Ja: Nie wiem, czy dobrze.

On: To wbij jeszcze ze trzy.

Ja: Niema gdzie!

On: To leż do góry!

Ja: A jak odpadnę?

On: Zatrzymasz się na hakach.

Ja: A jeśli wylecę?

On: Masz pięć, to jakby cztery prysły, jeszcze jeden zostanie.

Ja: A jak i ten wyleci?

On: To się możesz zabić, bo zlecisz z 50 metrów.

Ja: Ależ mnie tylko o ciebie chodzi, bo bezwątpienia cię ściągnę.

On: Nie bój się, mam tu hak cudownie wbity, nigdy nie wyleci, wal dogóry.

Rzeczywiście humor w Atlasie nie ustępuje niczem humorowi w Alpach. Tam bowiem jeden z kolegów tatrzańskich, człowiek zresztą o gołębiem sercu, radził mi w swej prostocie, widząc, że nie mogę nigdzie zaczepić liny, poprostu skoczyć wdół: «Bo tu jest taka wygodna platforma».

Ludzie gór mają poczucie *à propos* — bezwątpienia. Zamiast przewieszki, wybieram trawers. Co metr — dwa haki. A na nowej przewieszce dwa-naście. Tu było miejsca dosyc na całej jej dwumetrowej wysokości. Mogłem jeszcze trzynasty ulokować, ale zląkłem się feralnej liczby i jej skutków, w postaci naprzykład wylecienia wszystkich w razie ewentualnego odpadnięcia. Dzięki tym i innym jeszcze hakom i zabiegom, bezpieczny jak zawinięty pstrąg, któremu nic już grozić nie może, łąduję na wierzchołku.

Towarzysz Nr. 1-zwolna wygrzebuje się z otchłani.

Ja: Jaka była droga?

On: Cała bez trudności, ale dojście do trawersu nadzwyczaj trudne.

Poczekajmy, co powie Nr. 2.

On: Cała droga bez trudności, ale trawers nadzwyczaj trudny.

Wpływa numer trzeci.

Ja: Cała droga bez żadnych trudności, ale co było skrajnie trudne?

On: Przewieszka ponad trawersem.

Ponieważ osobiście przychyłam się do zdania przedmowców, uważając jednak za nadzwyczaj trudną rynnę w środku ściany, wobec tego proponuję, by drogę tę sklasyfikować jako w całości mniej niż bez trudności, ale z miej-

scami, które zależnie od indywidualności wspinacza, mogą okazać się bardzo ciężkie, lub stanowić niepokonalną zaporę.

Ocena ta spotyka się z ogólnym entuzjazmem, wobec czego, zjadłszy ananasa oraz nakarmiwszy się duchowo widokiem Sahary z jednej strony (czy to aby ona?) oraz oceanem z drugiej (orzeczenie, że to ocean, przeszło dwoma głosami przeciwko jednemu, przyczem czwarty wstrzymał się od głosowania), spływamy wdół na biwak, mając nadzieję (złudną jak przyszłość okazała), że mimo ostrych kamieni, uda nam się dobrze przespać tę lodowatą noc pod wyiskrzonem sklepieniem cudownego firmamentu Marokka.

JERZY GOLCZ

A JAK SIĘ O TEM PISZE, ALBO ICHIL M'GUN

Muły już dawno odesłane. Zapomniana nawet ta wściekłość wewnętrzna, która mię żarła, gdy o 100 metrów ponad miejscem pożegnania mulników znalazłem doskonałą ścieżkę. Kilka godzin uginania się pod ciężkim worem, zamiast wygodnej jazdy, bez obciążenia.

Spośród kępy suchorostów wystaje trójkątny leb żmiji. Zwrócony wprost na mnie. Nie mam nic w rękę, poza mym zaimprovizowanym czekaniem atlasowskim w postaci krótkiego i cienkiego kijka, wyciętego niedawno, w celu utrzymania w ryzach mojego wierzchowca, a z którym nie rozstaje się (kijem, a nie wierzchowcem, o ile ktoś miałby wątpliwości).

Wrodzony instynkt samozachowawczy, tak cenny dla egzotycznego eksploratora, zachęca mię do szybkiej ucieczki. Ale albo się jest odkrywcą dziewiczych terenów, albo się nim nie jest. Postępuję «honornie» naprzód, polecając duszę Bogu i z sercem skrwawionem z tęsknoty za Dorjanem i jego strzykawką.

Ale oto nagroda dla męskiej brawury. Widząc mój wspaniały atak, żmija znika z horyzontu. Triumfalnie stwierdzam to pierwsze zwycięstwo. Zmrok szybko zapada. Rozglądam się za miejscem na biwak, potem obserwuję Kita, wynurzającego się w niebezpiecznej i mistrzowskiej wspinaczce spośród gęstwy karłowatych, poziomych trawników.

Nagle — ale czy to nie złudzenie? — drogę pomiędzy nami przecina zwolna zając, skubiąc sobie trawkę.

Tylko tego brakowało — nieszczęście nas nie minie.

Na skalnej kazalnicy zakładamy biwak. Czarna otchłań pod nami wołoło, huragan huczy i ژیہی, przenika pod śpiwór Zdarsky'ego, mrozi i zniczula.

Ale nie będę opisywał tej nocy. Wystarczy lakoniczne czy telegraficzne sprawozdanie: minęła.

Nazajutrz od rana godziny wyczerpującej wspinaczki. Osiągamy 3800 metrów. Potem wąska grań urywa się. Nadludzkim wysiłkiem, narażając ciągle swe życie, schodzę 3/4 zerwy. Na tem koniec, bo dalej podcięte. Nacóż mi się przyda ten wspaniały nagan zawieszony miast liny u pasa? Trzeba zawrócić — zając zrobił swoje.

500 m wdół, długie trawersowanie i znowuż do góry. Jeszcze raz trzeba zawracać, ale już niewiele. Jeszcze godziny niepomiernych wysiłków w podzwrotnikowym upale, wreszcie leżymy na grani pod szczytem.

Musimy odpocząć, zregenerować swe siły, musimy pokazać wszystkim, że niema przeciwności, mogących zwyciężyć «kwiat alpinizmu polskiego».

Szczyt jest już za nami. Zostały na nim nasze worry, bo powrócimy tu na biwak, po zdobyciu jego sąsiada. Trzy kopczyki na jego trzech wierzchołkach, to skromny dowód naszej woli zwycięstwa.

Będziemy mieli ciepło, bo Kit buduje cały azib.

Nie dbamy o huragan, ani o roje robaków. Pełni cichej radości z naszego zwycięstwa, wpatrujemy się w srebrzysty szlak drogi mlecznej.

Już nie zastrasza nas żadne przeszkody — sen nasz będzie spokojny i błogi.

Amsod już za nami, potem M'Gun 4 i 5. Upojeni powodzeniem, zdajemy się pływać po tej wysokiej grani. Na Tarkedit spotykamy kolegów. Ogólne gratulacje — wzajemny podziw — skromne słowa o niezmiernej wartości i zdolnościach górskich. Chociaż, jak ludziom czynu przystało, o swoich przewagach nikt nic nie mówi i swoich własnych zasług nikt nie podnosi.

Strasliwym żlebem prowadzi dalsza nasza droga. Nie wiem jakim cudem trzymamy się — dlaczego nie spadniemy z tych gładkich, wypolerowanych, piarżystych płyt? Żleb zmienia się w gardziel skalną. Na jego dnie woda. Z wysiłkiem i trudem pokonujemy wdół jego oślizgłe, wymyte, bezchwytowe progi. Ściany przewieszają się nad nami, potem uciekają gdzieś w górę, hen, ledwo skrawek błękitnego nieba rozjaśnia nam przestrzeń.

Nagle — przerażające postacie przed nami. Twarze brodate, posępne. «wzrok dziki, suknia plugawa». Nie nóż, lecz noże błyskają za pasem. Strzelby, rogi z prochem, strasliwe w swym ogromie. A w jamie, gdzie mieszkają, cały arsenał.

Bandyci! Ręka wylatuje wgórze na znak powitania. Ich ręce jeszcze przedziej. Ha — więc i oni się boją — bądźmy bohaterscy!

Wyciągam do połowy swego naganą i rozpoczynam rozmowę. Nieufność powoli znika — wzajemne ożywienie zupełnie roztopia lody. Widoczne z obu stron nastroje pokojowe, obopólne uznanie dla uzbrojenia przeciwnika, zamieniają początkową obawę we wzajemny szacunek i chwilowe zawieszenie broni w wieczysty pokój.

Raczą nas swoją herbatą (co za smak i urok gdy nią częstują «brigands»), rozmawiamy z przejęciem. Oni po berbersku, my po francusku, ale w ogólnym podnieceniu nie gra roli, że nikt nikogo nie rozumie. Pozatem gestykulacja właściwa ludziom, umiejącym się zawsze dostosować do okoliczności, ułatwia nasze zbratanie.

Męstwo nasze okazuje się bezgraniczne. Nawet naganą wsuwam o milimetr głębiej w pochwę.

Z bandytów mamy przyjaciół i traktujemy ich protekcyjnie — szcycimy się zdolnościami poskramiania i cywilizowania — coby było, gdyby nie te wielkie, wspaniałe rewolwery.

Potem ogólny sallam, przyjacielska accolade i oglądając się pilnie na wszelki wypadek, dziarsko ruszamy wdół.

Po takich dowodach naszej inicjatywy, zdolności, wytrzymałości i odwagi głupstwem nam się wydaje konieczność pokonania następujących 400 m wdół, 800 m wgórze i znów 1000 m wdół, jak również nocne brnięcie bez światła (od czegoż prawdziwi ludzie gór — ta elita elity?).

W obozie skromnie poddajemy się podziwowi kolegów, pełni wyższości i uznania dla ich własnych wyczynów.

Z przykrością pozwalamy wmówić w siebie, że coś nam się moralnie należy za 5 szczytów zdobytych, 2 biwaki, mróz, upał, huragan, robactwo. Duma eksploratorów powinna być schowana głęboko, nie należy unosić się uwielbieniem nad swymi wyczynami. Wystarczy przecież pozwolić admirować się i odczuwać zaledwie gdzieś tam w głębi delikatne zadowolenie. Trudy, walkę, zwycięstwa nas, alpinistów egzotycznych, będziemy mogli — jako naukę i wzór niedościgły — opisać później w «Taterniku».



Fot. J. K. Dorawski

DOLNY OBÓZ POLSKI W AIT MIZAN



Fot. J. K. Dorawski

DŻEBEL TACHRAT Z AIT MIZAN

W KENJONACH ARUSU

Po długich dniach wędrówki przez doliny, przełęcze i szczyty Ait M'Gunu, dotarliśmy nareszcie pod stopy najwyższego w tej grupie Amsodu. Obóz nasz, ósmy z rzędu w Atlasie, stanął nieco powyżej miejsca, gdzie Assif Arus wylewa się z wąskiej, skalistej doliny na ogromną trawiastą równię, otoczoną niewysokim wałem górskim, ponad którym szarzeją w oddali wyniosłe stożki Tiferdin. Na małej platformie, pod cieniem kilku rozłożystych orzechów, rozbiliśmy nasze trzy namioty. Obok nad bystrym nurtem kanału prowadzącego wodę na pola jęczmienia, Mohammed ben Ali rozłożył swoje przybory kuchenne. Ognisko zbudowane z kilku kamieni, pogięty, okopcony sagan, patelnia, skrzynie z żywnością, ot i wszystko. Muły i eskorta stanęły opodal. Dalej poza obozem szare, pocięte strzelnicami mury kazby strzegą ujścia doliny, potężne zerwy zachodniego zbocza Tafanfanu zasłaniają bezmała pół horyzontu. Wdole mętne wody Assif Arus huczą w kamiennym łożysku, mknąc przez równinę ku głęboko wciętym, lesistym wąwozom, gdzie dziesiątkami kaskad spadają wdół do Ait Mallal — i dalej przez coraz to szersze doliny dążą hen w czerwonych piaskach ku dalekiemu oceanowi.

Przeżyliśmy już tak wiele. — Burze gradowe w Ait Mizan, zawieje śnieżne na ścianach Tubkału i straszliwe upały pod Demnat czy w Iminen. I gorący huragan, wałący z nóg ludzi i muły na przełęczach pod Agernddrar, gdy tumany czerwonego pyłu przesłaniały słońce, płonące żarem na niebie bez chmurki. I długie godziny spędzone na grzbietach mulów, stąpających wolno, w skupieniu, po zdradliwie wąskich perciach nad urwiskami. Przeżyliśmy w dolnych obozach noce parne, gorące, gdy pierśmi brakowało oddechu, a całe ciało płonęło ogniem od ukąszeń moskitów i mrówek, i mroźne biwaki pod szczytami, gdzie gwiazdy lśniły blaskiem niespotykanym nigdy u nas w kraju. Dążyliśmy ku szczytom przez lasy mirtowe i wonne zarośla różowych rododendronów, przez szmaragdowe kępy ogromnych ostów i traw niebieskawych, twardych jak druty stalowe. Przez czarne bloki zastygłej lawy, czerwonawe piaskowce lub szare wapienie wdzieraliśmy się na granie nigdy niełknięte stopą białego człowieka, ku nowym, na żadnej mapie nieoznaczonym szczytom. Przeżyliśmy w tych górach wiele dni pięknych, coraz to innych, coraz to nowych. Dziś dodaliśmy do nich jeszcze jeden — «d z i e ń w o d y».

Dolina Arus, jedyna droga w głąb potężnego pierścienia, utworzonego przez łańcuchy Maaralu i Amsodu, jedyny dostęp pod stopy ostatniego, dziwnie uparcie broniła się przed inwazją przybyszów z Europy. Już podczas pierwszego wypadu w stronę Amsodu mulnicy absolutnie nie chcieli iść w głąb doliny, na mięgi dając do zrozumienia, że przejście jest niemożliwe. Dużym nakładem sił i czasu obeszlśmy całą środkową część doliny, przeszło o 500 m powyżej po stronie południowej. Zgóry niewiele było widać, lecz dzika gmatwanina skalistych żeber, urywających się pionowo o kilkaset metrów ponad niewidocznym dnem doliny, kazała się domyślać, że przejście dołem byłoby istotnie ciężkim zadaniem. — Druga partja, dążąca w stronę Maaralu, również obeszła dolinę, tym razem daleko po stronie północnej. Przez boczną dolinkę i dwie wysokie przełęcze pomiędzy szczytami Tafanfan i Ohri, osiągnięto nareszcie środek pierścienia górskiego. Tam natknięto się na nową zagadkę. Topografia terenu była zupełnie niezrozumiała. Ogromna, moczarowata polana, stanowiąca najwyższą część Doliny Arus oddawała swe wody na zachód, a więc w kierunku przeciwnym do biegu Assif Arus. Kilkogodzienne próby zejścia doliną nie dały rezultatu, zapadająca noc zmusiła wyprawę do powrotu znanym już nam, choć znacznie dalszym szlakiem. Wresz-

cie dwaj inni koledzy, wracający z Amsodu, daremnie usiłowali zejść wprost do środkowej części doliny. Po całodziennej walce z kruchemi skałami, po nocy spędzonej w urwiskach, przyszedli do obozu głodni i wyczerpani, oszczędzając górze niezdobyte wawozy.

Tego było nam już za wiele. Rezygnując z dnia wypoczynkowego, prawie cała ekipa ruszyła w górę doliny ze stanowczym zamiarem sforsowania upartych kenjonów, by nareszcie zbadać, co się w nich kryje.

Słońce było już wysoko, gdyśmy opuszczali naszą zaciszną polankę ósmego obozu. Kopyta mulów zmąciły wody potoku i cały sznur zwierząt i ludzi począł zwolna wznosić się w górę wąską, skalistą percią. Ściany doliny stawały się coraz wyższe, coraz bardziej strome, szum potoku słabł. — Pięćdziesiąt metrów — sto — stopięćdziesiąt. Ścieżka robi się coraz węższa i wije się wpoprzek grzęd i żeber skalnych. Wdole, pod nogami, szarzeją języki piargów, błyszczą gładkie płyty, gdzieniegdzie jakiś krzak czepia się stromizny. Potok wygląda teraz jak srebrna wstęga. Muły zwolna posuwają się naprzód, próbując ostrożnie każdy kamień. Mijają minuty i kwadranse. Teraz ścieżka łagodnie opada, a dno doliny progami wznosi się w górę. Muły zbiegają kłusem ku szumiącemu potokowi. — Bród. I znowu powolne wzniesienie się na przeciwległe zbocze doliny. Mijamy ogromną skałę, podziurawioną jak plaster miodu. Szereg jaskiń, w kilku kondygnacjach nad sobą, uderza regularnością kształtów. Ile pokoleń ryło prymitywnymi narzędziami twarde piaskowice, zanim powstały te groty. Ile tysięcy lat przeszło od tego czasu! A przecież dzisiejsze kazby, lepiące z niewypalanej gliny i błota, niewiele różnią się od tych jaskiń z czasów troglodytów.

Dolina rozszerza się, las mirtowy porasta jej zbocza. Po lewej stronie pojawiają się rozległe tarasy jedne nad drugimi, jakby gigantyczne schody ku szerokiej grani wylaniającego się poza niemi szczytu. Na prawo urwiste ściany Tafañfanu cofają się w tył, ukazując długą boczną dolinkę, podchodzącą gdzieś wysoko pod czerwone skały szerokiej przełęczy. Wprost przed nami za zielonym wałem trawiastym, czarne, pionowe skały urywają się szeregiem kulis, zachodzących jedna za drugą. Przez faliste wzgórze i łąki zjeżdżamy znów do potoku. — Szlaki rozdzielają się, ten na prawo zbacza w dolinkę, ten na lewo wije się dziesiątkiem serpentyn w kierunku najniższego tarasu. Przed nami płaska, dość szeroka dolina, ujęta z boków w pionowe ściany. Potok płynie szerokimi lukami wśród kęp wierzbowych i łąk piaszczystych. Na ostatniej, trawiastej polance zostają muły i poganiacze. Dalszą drogę musimy już odbywać pieszo.

Zwawo ruszamy w głąb wawozu, przedzierając się przez krzaki lub kopiąc się przez ławy piaszczyste. Tempo pochodu słabnie jednak szybko, gdyż potok, przerzucając się ustawicznie od jednej ściany do drugiej, co chwila zagradza nam drogę, a nie jest łatwy do przeskoczenia. Każdy szuka przejścia, jak umie. Ktoś, niedoceniwszy odległości, wpadł po kolana w wodę, teraz brnie środkiem potoku, ku zazdrości tych, którzy, mając jeszcze suche buty, muszą szukać dogodnych miejsc do skoku. Kenjon zwęża się coraz bardziej, co chwila zmieniając kierunek i po chwili wyprowadza na śliczną polankę, otoczoną kilkusetmetrowymi ścianami. Po lewej stronie silny strumień wody wypływa z bocznej odnogi kenjonu, a silny grzmot i wypryski piany każą się domyślać wodospadu. — Podchodzimy bliżej. Krótki, mroczny wawozik, prawie całkowicie zajęty przez potok, kończy się rodzajem małego kotła. Ponad nim czarna szczelina w kształcie potwornej spirali przeszło trzydziestometrowej wysokości wyrzuca z ogluszającym rykiem potoki białej piany. Wydaje się wprost, że skały pękną pod ciśnieniem tej strasznej śrubby. — A o kilka kroków dalej, ta sama woda szemrze cicho w łożysku

z różnobarwnych kamyków, dążąc przez słoneczną polanę do głównego potoku. Nieco dalej stromy stożek piargów umożliwia wydostanie się na małą kazalnice, leżącą wysoko ponad opisanym wodospadem. Naturalnie wdzieramy się tam na wyścigi i — stajemy oszołomieni.

Ściany ponad dolnym wodospadem cofają się w głąb, tworząc ogromny kocioł. Jedną jego stronę pokrywa mroczny cień przewieszonych urwisk, druga błyszczy w słońcu oślepiającą białością gładkich płyt wapiennych. Wysoko z góry spada srebrzysta kolumna rozpylonej wody w sam środek szmaragdowego jeziorka. Rozpalone słońcem płyty, ustawicznie zraszane subtelną mgłą wodną, buchają kłębamii pary, na której co chwila rysują się łuki tęczowe. Wody jeziorka spływają szeroką kaskadą do ciasnej rynny, ginąc poniżej w ciemnej szczelinie, skąd bryzgają płyty piany i słychać stłumiony grzmot. Wspinając się jeszcze kilkanaście metrów po prawie pionowej ścianie, ujrzelśmy powyżej jeszcze jeden wodospad, lecz dojście do niego nie było prawdopodobnie możliwe. Tam, gdzieś powyżej, spędzili dzisiejszą noc nasi dwaj towarzysze. Nie dziwnego, że nie mogli tędy zejść.

Nasi fotografowie pracują. Niestety, niema miejsca, z którego możnaby zdjąć całość wodospadów. Żaden aparat nie obejmie tej różnicy poziomów. Wreszcie ruszamy w dalszą drogę.

Po przeciwnej stronie głównego wąwozu widać ujście nowego strumienia. Wypływa on z czarnej groty o kilkadziesiąt metrów ponad dnem doliny, spadając szerokim wachlarzem przez płytową ścianę, porośłą zielonym mchem. Kenjon zwęża się i po chwili tworzy długi, prosty korytarz, zaledwie trzymetrowej szerokości, całkowicie wypełnionej wodą. Słońce tu nigdy nie dochodzi, — między pionowymi ścianami widać zaledwie wąski pasek błękitu. Ciemno i chłodno, bajeczny kontrast z rozpalonymi zboczami doliny, wśród których wędrowaliśmy od rana, czarnymi szklami chroniąc oczy od blasku.

Brnąc po kolana w bystrym nurcie, posuwamy się naprzód. Ubrania zostały na ostatniej polance. Większość ma na sobie buty kute, kaski korkowe i kostjumy kąpielowe. Droga staje się coraz trudniejsza, co chwila napotykamy progi skaliste, oślizgłe głązy, przez które wdzieramy się pod prądem wody. Chwilami wąwóz rozszerza się w małe, słoneczne polanki, zarosnięte płataniną krzaków kolczastych, poczem znów zwierają się ściany w coraz węższe szczeliny, gdzie każdy krok trzeba zdobywać, walcząc z coraz silniejszym prądem wody.

Wreszcie poza większą polanką, gdzie oryginalna struga spadała spoza



Fot. J. Kiełpiński
Fragment z kenjonów Arusu.

samotnego drzewka, sterczącego wysoko na krawędzi ściany, napotkaliśmy przeszkodę, która ostatecznie zmusiła nas do odwrotu. Nowe zwężenie kenjonu, zawalone ogromnym blokiem skalnym, poprzez który staczał się wodospad, okazało się niemożliwe do przebycia...

A po dwóch godzinach leżeliśmy na piasku pod cieniem pionowej skały u wejścia do kenjonu. Doszczętnie opróżnione plecaki przypominają, że czas wracać do obozu, ale jakoś nikt nie ma ochoty ruszać się z miejsca. Przecież to dziś dzień wypoczynku. — W miarę ustępującego znużenia ożywia się rozmowa, snujemy nowe plany. Jutro o świcie jedni ruszą na Tazegzault, inni na Tazirt i Tafanfan. Jeszcze trzeba rozwiązać zagadkę górnej części Doliny Arus, sprawdzić istnienie przypuszczalnego przełomu, odprowadzającego wody ku Assif Tessaut. Może z Tazegzaultu zobaczymy owo nieznane jezioro, o którym wspominali przed tygodniem pasterze z Ams-zri. Jeszcze nasza mapa ma luki, które koniecznie trzeba zapisać przed odjazdem. A czasu już tak niewiele zostało. Nie starczy go też napewno, by zbadać tę wspaniałą piramidę skalną, Dżebel Uaugulzat, która daleko na wschodzie wybujała ponad pomniejsze szczyty.

LUDWIK GORSKI

DŻEBEL TINERGET

Pracowicie budują tamę z kamieni i żwiru. Poziom wody podnosi się w strumieniu i oto mamy gotowy basen. Z rozkoszą zanurzam się w zimnej wodzie.

Namiot rozbiliśmy na dnie głęboko wciętej doliny, w miejscu, gdzie rozwidła się ona na dwa, bystro wgórę wznoszące się ramiona. Ciasna dolina rozszerza się tu, tworząc zaslaną gruzem arenę. Potężnym filarem wisi nad nią żebro, dzielące oba ramiona.

Uważnie badam oczyma, co kryje ich wewnątrz. Tak jakoś prędko i łatwo dla oka wznoszą się wgórę, wyprowadzając na grań, w świat powietrznych wędrowek, na skraju między czernią urwistych skał a białą jasnością nieba.

Z wielkiego głazu pod spiętrzoną boczną zerwą doliny — nowy widok. Wysoko wgórze, ponad wiszącym żebrem, wspaniała pionowa ściana. To Tinerget. O tej ścianie mówił nam w Ait Arus porucznik Gauthier: pionowe, kilkusetmetrowe urwisko, którego chyba nikt nigdy nie przejdzie.

Od szczytu biegnie w prawo poszarpana grań. Na nią mają ochotę dwa Jajany. Pójdą prawą doliną, stamtąd gdzieś wygodnie wydobiją się na grzbiet i dalej granią na szczyt.

Trzeci Jajan idzie ze mną. My podjedziemy mulami lewą doliną tak wysoko, jak tylko się da, a potem — potem zobaczymy. Może Aulim, może Tinerget właśnie «tą» ścianą, a może nawet jedno i drugie. Ewentualnie nawet dwa dni w terenie. No i koniecznie wyruszymy jaknajwcześniej. Jeszcze przy świetle księżyca. Perć wskaże miejscowy pasterz, a muły tak świetnie chodzą pociemku.

Jest też jeszcze zupełnie ciemno, gdy dosiadamy mulów, trochę zadroszcząc towarzyszom, którzy zaspanemi głosami dowodzą nam, że oni mają jeszcze dużo czasu, że oni napewno zdążą, i że wogóle niema najmniejszego sensu tak wcześnie wstawać.

Ruszamy. Ja jadę na swoim olbrzymie. Gdy nocą w Nzala Argana pomacku wybieraliśmy sobie wierzchowce, z wielkim, pomimo pomocy, tru-



AMCHARAS N'IGLIUA

Fot. J. Kiepiński

dem wdrapałem się na pierwszego z brzegu. Czulem, że coś jest nie w porządku. Siedziałem jakoś dziwnie wysoko. Chyba przez pomyłkę nie dali mi wielbłąda. Dopiero gdy ujechaliśmy duży szmat drogi, przy pierwszych blaskach świtu ujrzałem cały ogrom mego muła. Drugiego tak wielkiego chyba niema w całym Marokku. Mój szacunek doń zwiększył się jeszcze na wiadomość, że służy on zwykle samemu mokedemowi.

Dorciov muł był o wiele skromniejszy. Zato jazda na nim miała swoisty wdzięk. Na grzbiecie bowiem, miast derki, nosił z obu stron zwisające dwie rozbuchane torby. To też siedziało się na nim, jak na kanapie. Całą gębą — szeroko i zawiesiście. Tylko, że kanapa ta miała swoje małe ale. Niczem nieprzytwardzona, lubiła przechylać się na jedną lub drugą stronę, albo nawet nagle zupełnie się spod jeźdźca wysunąć.

O! co! — nieustabilizowana była i naturę miała fantazyjną.

Muły szły wolno i potykając się co chwilę. Perć wkrótce skończyła się i pasterz, idący przed nami, chytrze lawirował, wynajdując między głazami drogę z jednego prózku na drugi.

Szarzało coraz bardziej i prędko zrobiło się zupełnie widno. W samą porę, bowiem droga była coraz bardziej śtyrbna i coraz częściej kanapa z naszymi plecakami wylatywała spod Dorcia. Po takich zbyrkach jeszcześmy w Atlasie nie jeździli.

Przemysłnym, wąskim gzymsikiem wjeżdża Dorciów mułik na małą płasienkę. Tam, drepcząc ściągniętymi do kupy kopytkami, powolutku obraca się w bok i rusza wprost w górę poprzez strome korytko, zasłane sypkim piargiem.

Nie lubią atlasowskie muły piargów. Widzę, jak trzęsą się i gną nogi rumaka, jak rozpaczliwie szarpie się on naprzód w poszukiwaniu jakiegoś stałego punktu oparcia. Nagle wali się na bok i «porzucając» jeźdźca, obsuwa się kilka metrów w dół. Łąduje tuż przede mną, na małej płasience ponad zerwą.

Takto i wódz nasz, sam Pan Kierownik Wyprawy, dzielny członek klubu ścigantów, wstąpił pod koniec wyprawy i do klubu džentelmenów.

Mam zaufanie do mojego muła. Daję mu solidny doping piętami i z fasonem wjeżdżam na «pionowy» piarg. Olbrzym rwie do góry, ale i jemu gdzieś się zapodziejają nóżki, więc ciężko pada na brzuch i powoli sunie z całym strumieniem szutru w dół.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów takiej drogi i przewodnik nasz oświadcza na mię, że dalej muły nie wyjdą. Bardzo chętnie mu wierząc, zeskakujemy jaknajszybciej na ziemię. Stąd do szczytu mamy już tylko 1250 m wzniesienia.

Wspaniałym zachodem wydostajemy się na żebro i niem walimy do góry. Gdy jednak zaczyna nam zagrażać słońce, schodzimy do depresji i w nieustannej, choć łatwej, wspinaczce zbliżamy się do właściwej ściany.

Właściwej, znaczy — Tinergetu, bo stąd już widać wyraźnie że... żeby tylko puściła!

Po godzinie zatrzymaliśmy się na małej odpoczynek. «Twój plecak jest cięższy od mego — mówi Dorcio — może będziemy się zmieniać warami co godzinę». — «Zgoda» — odpowiadam, i głęboko w pamięci karbuję sobie tę propozycję.

Pierwszy raz idziemy razem we dwóch, więc nic dziwnego, że jestem trochę ciekaw towarzysza. Ale wiem już teraz swoje. Dorcio napewno się dziwił, skąd mam tak nagle rozradowany uśmiech na twarzy.

Depresja zmieniła się w górę w głęboki żleb, o dnie wypełnionym śniegiem. W głębokiej szczelinie brzeźnej ukazał się pasiasty układ nawarstwień lodu. Ten jedyny chyba w całej tej grupie górskiej biały skrawek był więc

małym lodowczykiem. Wzruszony zaproponowałem zjedzenie czegoś solidnego.

Po śniadaniu włączymy w ścianę. Na lewo i na prawo urwiska zupełnie, ale naszym kominem można jeszcze iść bez asekuracji. Zatyka nas przewieszka, zasłana ruchomymi glazami od góry. Jakoś nieporęcznie nam wprost przez nią. Więc asekuracja, Dorcio podchodzi na moją wysokość, robi trawers i już jest nade mną. Teraz jadą na linie pokolei oba plecaki, zgodnie ze zwyczajem zacinając się po drodze. Wciśnięty pod przewieszkę, obserwuję lecące z niej kamienie. Czas na mnie. Gąsienica taternicka posuwa się w górę.

Ściana z obu stron piętrzy się wspaniałą pionową płytą. Gdzieś wysoko nade mną zdobywa ją Dorcio. Ciszę przerywa tylko czasem furkot straconego liną kamyka. Jest mi tak wygodnie, tak dobrze, tu, na wywieszonym ponad przepaścią balkoniku.

Zar, leżący się z nieba, rozleniwia, a miękka lina, przemyskając się między końcami palców, budzi niemal zmysłową rozkosz. Rozpalona skała przyciąga oczy i dłonie...

Znów ja prowadzę. Właściwie najwygodniej byłoby tem zacięciem, w którym właśnie jestem, wprost w górę. Tylko, że ściana trochę ucieka nam wlewo, tak, że to nie byłoby — wprost na szczyt.

Człowiek rozsądny — słońce nas już tak dawno dopadło — uśmiecham się z politowaniem nad sobą i walę kilka metrów wprost w górę. Potem — potem przenoszę się do rysy na lewo i znów ją porzucam dla skośnie w lewo biegnącego zacięcia, a dalej już tylko wprost w górę aż do samego szczytu.

Więc jednak ściana pięknie samym środkiem rozwiązana. Udał nam się ten Tinerget. Wiadomo — pionowe «bez chwytów i stopni» urwisko.

Na szczycie kilowa puszka kompotu i gara. Po godzinie dopiero ukazują się daleko w dole dwie postacie Jajanów, sunące powoli w potokach palącego słońca. Ich grań, niestety, widać to dobrze z góry, zupełnie nieciekawa. Piarżysko, urywające się z jednej strony śromem ścianami. Rozpiera nas duma, że to my pierwsi, że piękna ściana już za nami i postanawiamy jeszcze skoczyć na Aulim.

Prędko zbiegamy kilkaset metrów w dół na przełęcz, zostawiamy plecaki i znów w górę. Teren klasycznie nieco trudny. Właściwie wszędzie puszca, tylko że nie odrazu można «wszędzie» odnaleźć. Coraz to gdzieś się zapycham i krzyczę do Dorcia — nie chodź tędy!

Wreszcie zapchałem się dokumentnie. Ale przecież nie będę wracał kilkanaście metrów tym jakimś nijakim kominem. Więc najtrudniejszy trawers i w końcu «nieco trudno» wychodzimy na szczyt. Tu znów odpoczynek. Szukam «prawdziwej» ściany Aulimu. Z trzech stron niema jej napewno. Schodzę więc kilkadziesiąt metrów spod szczytu w pozostałą stronę świata i konstatuję, że tam to może jest. Tak jakoś niebardzo co pod nogami widać. Tylko że dostać się do niej, dla nas zupełnie nieporęcznie.

Postanawiamy więc powrót. Tym razem lawirujemy z drugiej strony grani. Nisko, już pod przełęczą spotykamy się we czterech. Plecaki idą na muły, nam jednak niebardzo chce się wierzchem paradować. Dopiero gdy robi się mniej stromo, zachęcony przykładem Dorcia, dosiadam swego muła.

Jest jeszcze zupełnie widno, gdy docieramy do obozu. Sierżant podaje nam szklaneczki pełne aromatycznej herbaty. Rozciągam się wygodnie na dużej płycie kamiennej.

Wysoko nade mną widnieje północna ściana Tinergetu.

JUSTYN T. WOJSZNIS

LUDZIE I RZECZY

Cztery instancje władz francuskiego protektoratu w Marokku przebrnęła nasza wyprawa. Żle mówię: nie przebrnęła, lecz przeszła gładko, łatwo i szybko. Na każdym szczeblu władzy Francuzi byli bardzo uprzejmi, co nie jest trudne i ważne. Francuzi byli b. uczynni i pomocni — zwłaszcza na niższych szczeblach — co już jest godne podkreślenia. A wreszcie: nie spotkaliśmy się z beznadziejnym biurokratycznym systemem, utrudniającym życie urzędnikom i stronom. Czyżby go nie było w kolonjach francuskich, czy też wyjątkowo nie zastosowano go do naszej sprawy?

Pan konsul Vattier w Residence Général w Rabat przyjmuje nas natychmiast po zameldowaniu. Wypytuje dokładnie o organizację i cele wyprawy — równocześnie zaś sekretarjat jego wygotowuje odnośne akty. Po pół godzinie wychodzimy, mając w rękach pismo polecające do komendanta okręgu Marrakesz. General Catroux już nie pisze — wyda ustne polecenie przy raporcie szefowi *Bureau régional des affaires indigènes*. Wszelkie ułatwienia oczywiście. General jednak musi trochę imponować, więc nie obiecuje od razu pozwolenia na zwiedzenie M'Gunu. Więc oświadcza, że topografowie francuscy już wszystkie dostępne tereny skartografowali («Vous n'avez rien à faire à ce sujet»). Na szczęście wiemy, że tak nie jest.

Kapitan Chollet z *Bureau régional* w Marrakeszu jest naszym «oficerem łącznikowym». Wszystko załatwia natychmiast telefonicznie. Telefon do Demnat, telefon do Imi n'Tanut, telefon do Nzala Argana. Ogólny program — dokładne dane personalne. Kpt. Chollet już wie, że możemy jechać w pasmo M'Gun. Granice zakreśli szef biura w Demnat. Godzinę trwa przygotowanie naszych wypadów w tereny odległe od siebie o 300 km.

Tak dostajemy się w ręce władz pierwszej instancji, ludzi żyjących w *bledzie*. Tu już stosunki nasze nie ograniczają się do spraw ściśle urzędowych. Wkraczają także na teren prywatny. Nic dziwnego — wśród morza tubylców zbliża nas do siebie pochodzenie europejskie. Porucznik Gauthier z Demnat daje nam eskortę wojskową i organizuje karawanę, ustala z nami dokładny co do dnia program działań, przyjmuje nas w swym wytwornym domu, gości potem u nas w obozie w Arus, czyni nam gorzkie wyrzuty, że przekroczyliśmy jego instrukcje, nocując w górach poza obozem głównym.

Jest odpowiedzialny za naszą całość.

*

*

*

List żelazny pisany był arabskim charakterem. Nie rozumieliśmy oczywiście jego treści, lecz przetłumaczył go na francuskie sam wystawca, por. Gauthier. Stylem napoły biblijnym, napoły jakby z bajki 1001 nocy wyjętym, nakazywało pismo wszystkim sziurom krainy Ftuaaka okazywać pomoc naszej wyprawie i nie żądać nadmiernych cen za sprzedawane produkty.

To ostatnie zapewne niebardzo podobalo się Berberom w kraju, gdzie kupiec żąda za sprzedawany przedmiot dwudziestokrotnej sumy jego wartości. Ale stosowali się do rozkazu bezwzględnie. Co więcej — często uważali nas za swych gości. Kazby w Igher n'Igherm, w Ait Attik, w Rugult — klepisko przed obozem w Ait Arus — widziały prawdziwe uczyty wydawane na naszą cześć.

Na matach, na wzorzystych kilimach marokańskich kręgiem siadali biesiadnicy. Wrząca herbata marokańska, pita w kilku kolejkach z małych szklaneczek, skracała oczekiwanie, aż kuchnia wygotuje potrawy. Przekąska wstępna dziwnie skombinowana: orzechy luskane, migdały i jaja na twardo.



Fot. J. K. Dorawski

Przyjęcie u szuira w Ait Attik.

zumiał, że wszystkie już do niego należą i kazał je odnieść do kazby razem z naczyniem.

Nie zanudzali nas pytaniami i ciekawością. Mimo że rozmowa przy pomocy tłumacza mogła dotyczyć wszelkich materyj, ograniczała się tylko do grzecznościowych frazesów i do rzeczowych umów o dostarczenie żywności, przewodników, wskazania drogi i t. p. Sziurowie przyjmowali na odjezdnem podarki w naturze lub pieniądzech. Żegnali nas uściskiem ręki człowieka wolnego i równego.

*

*

*

Jeszcze przed rokiem leżał M'Gun w zasięgu walk z dyssydentami. Jeszcze na wiosnę wydarzył się na jego terenie napad na oddział legionistów. Dostaliśmy więc eskortę wojskową.

Trzech żołnierzy sultańskich — *mohrazni*, jak się mówi z arabska — ubranych w białe turbany i błękitne dżelabby. Trzy ogiery — dwa kare, jak skrzydło kruka, jeden siwy — ogniste i piękne. Trzy karabinki Lebel'e'a. Siła zbrojna nie była zbyt potężna, mimo że mogła liczyć na pomoc naszych siedmiostrzałowych Nagant'ów. Była jednak widomym dowodem dla całego szczerpu Ftuka, że wyprawa stoi pod opieką *szeryfa* i *marzena*. Nasza krzywda zostałaby pomszczona. Co więcej, sprawca naszego niezadowolenia zostałby ukarany. Siła zbrojna miała znaczenie symboliczne i doprawdy nigdy nie mogłem się dowiedzieć, czy jej karabiny miały stałe ostrą amunicję.

Jeździli, jak djabły, na wysokich arabskich kulbakach, świecąc golemi piętami i kłując boki końskie ostrym kaniem strzemienia. Na płaskiej równinie Ait Arus urządzili fantazję z takim temperamentem, krzykiem i gestami, jakby atakowali rzeczywistego nieprzyjaciela. Spali często pod gołym niebem z siodłem pod głową, ale nieraz byli gośćmi szurow.

Brygadjer Thami, poczciwie wyglądający grubasek, o kunsztownie powygalananej brodzie żył ze swemi żołnierzami zapanbrat. Z mulnikami nie zadawał się, traktował ich jak sługi, i trzymał ostro. Wobec nas był pelen

respektu i przychylności. Porucznik Gauthier musiał mu dobrze wpoić przekonanie, że jest odpowiedzialny za naszą całość, bo brygadjer troszczył się o nią do przesady. Nasze częste biwaki poza obozem były dlań źródłem wielkiego niepokoju. Żadne perswazje nie zdołały go odwieść od zorganizowania wyprawy ratunkowej całej wsi Ait Attik po jednego z nas, który wcale ratunku nie potrzebował. Jak zdołano w krótkim czasie odnaleźć go w nocnej ciemności, mimo że na wołania nie odpowiadał, pozostanie tajemnicą.

Żegnaliśmy swą eskortę na rynku w Demnat serdecznym uściskiem dłoni. Prości, uprzejmi ludzie — polubiliśmy ich.

* * *

Blisko trzydziestu mulników berberskich służyło nam w trzech naszych karawanach. Gromada ludzi — zbiorowisko przeróżnych typów. Dominował jednak liczebnie przeciętny, potulny, w mocno brudne lachmany przyodziany homo. Wydatne nosy, duże oczy, skąpe bródki podobne były do siebie na równi z imionami. Ahmed, Mohammed, Ibrahim i Lhasen przeplatały się w różnych kombinacjach. Bo za nazwisko służy im imię ojca.

Chętni, usłużni i wytrwali klusowali obok mulów całym godzinami. Podnosili wówczas do góry, a nawet zarzucali sobie na głowę swe powłóczyście szaty. Migwały brązowe i chude lydki pod barwnymi majtkami. Najwspanialsze kolory były zielony i ametystowy, noszone przez paru elegantów. Inni — biedniejsi — mieli majtki koloru nieokreślonego. Jakieś brudno-szare.

Wieczorem lub rano, zależnie od rozkładu zajęć, przyjemna chwila wypłaty. Husseiny i Mobareki brały po 10 franków dziennie na siebie i muła. Mam wrażenie, że była to suma dość znaczna w kraju, gdzie tubylec może wyżyć za darmo. Tak przynajmniej urządzali się nasi ludzie. Pod koniec pobytu w górach każdy z nich miał całkowity zarobek nienaruszony. Jak się to działo? Pewne światło na to zagadnienie rzuca zajście w Ait Attik, gdzie miejscowy chłop oskarżył mulników o kradzież zboża. Gwałt i krzyk chłopca wypełniał całą dolinę ku szalonej uciesze szkodników, którzy pokładali się ze śmiechu.

Spośród niejakej i potulnej większości zapamiętałem kilku ludzi krnąbrnych, hardych. Był taki Si Hemmu ben Mulid, który odznaczał się nie tylko rzadkiem nazwiskiem i jeszcze rzadszą umiejętnością czytania, ale i intrygantwem. Niedosć, że nie chciał słuchać rozkazów sierżanta Belaida, ale próbował mu zepsuć opinię wobec nas. Oskarżał go o... picie wina. Buntownik ten nie orjentował się stanowczo w sytuacji.

Był inny, olbrzymiej postawy starzec, o białej brodzie proroka, który ni stąd ni zowąd ściągał juki ze swego muła i oświadczał, że dalej iść nie może, bo muł jest chory i zdechnie. «Trudno, staruszkule, jeśli twój muł jest słaby, to ty nie dostaniesz pieniędzy». Na takie dictum muł, który kochał swego pana, zdobywał się na «ostateczny wysilek». Ale mulnik miał słabą pamięć, bo na drugi dzień cała historia się powtarzała.

* * *

Wrzący płyn parzył wargi i język, ale gasił pragnienie w przedziwny sposób. W gardle pozostawiał chłodzący dech mięty. Był smaczny, choć słodki, jak sam cukier. Miał jedną wadę: podawano go w zbyt małych dawkach. Trzy małe szklaneczki nie mogły nas nigdy zadowolić.

Przy każdej sposobności — przed posiłkiem i po posiłku, na każdym postoju, rano, wieczór i w nocy pije się herbatę marokańską. Przyrządzanie



Fot. J. K. Dorawski
Herbata marokańska.

jej, to cały obrządek. Pozatem sztuka, którą nie każdy posiada. Sposób wyparzania naczyń, zasypywania zielonej herbaty, dodawania cukru, zanurzania świeżej mięty, przelewania tego wszystkiego z jednych naczyń do drugich odbywa się w pewnej niezmiennej kolejności. Ale od celebującego szafarza zależy, by wszystkie te czynności spełnić skrupulatnie, elegancko i estetycznie.

Prawdziwym mistrzem był sierżant Belaid ben Ali. Z nabożeństwem i skupieniem przystępował do swej funkcji. Sprawiał ją poprostu artystycznie. Podziwiałem zawsze precyzję jego ruchów i finezję wykonania. Herbata przez niego podana, smakowała jeszcze lepiej.

*

Ostrzegano nas bardzo usilnie. Góry, widziane z Casablanki i Marrakeszu, roily się od skorpionów i węzów, które miały się wślizgiwać do namiotów i obierać jako najczęstsze miejsce schronienia... buty turystyczne. Wysłuchaliśmy mnóstwa

dobrych rad i zaopatrzyliśmy się w zapas surowic leczniczych przeciw ukąszeniom. Wieczorami przed ułożeniem się do snu wytrząsaliśmy skrupulatnie śpiwory (niektórzy, bardziej pedantyczni, nicowali je przytem). Rano — zanim ktoś poważał się wdziać buty na nogi — stukaliśmy nimi o ziemię w nadziei, że wypadnie z wnętrza 10-centymetrowy skorpion. Wszystko napróżno! Raz tylko znaleziono w głębi trzewika jakiegoś «gada», który po bliższem obejrzeniu został zakwalifikowany do rodziny karakonów. A jednak skorpiony nie były mitem! Znajdowaliśmy je pod kamieniami nawet w bezpośredniem sąsiedztwie obozu. Ale nie chciały mieć z nami nic do czynienia. Tak samo żmije — niewielkie, żółtawe — uciekały w popłochu przy niespodziewanem spotkaniu, co im zresztą niewiele pomagało. Padaly stale ofiarą zawziętej nienawiści naszych ludzi.

Zato dały się nam we znaki inne plagi marokańskie. Niech tylko słońce zniknie za poszczerbione granie wierchów, zaczynają krażyć, bzykać, kłuć i pić krew — Moskity. Małeńkie bestje przenikały przez oczka moskitjer, zakłócały spoczynek, spędzały sen z powiek. Nic nie pomagało smarowanie skóry różnemi maściami, rzekomo ochronnemi. Bąbli, małych i większych, piekielnie swędzących wciąż przybywało na ciele. Wrażliwsi pacjenci zrywali się z legowisk, uciekali z namiotu, biegali po nocy i... drapali się do krwi.

Wówczas wdychało się do dnia i do słońca. Jego blask i ciepło przepędzały roje moskitów. Można było wrócić do namiotu. Na krótko, bo poprzez cienkie ściany zaczynało się szybko nagrzewać powietrze we wnętrzu. Już koło 9-tej rano świeca, niebacznie zapomniana, zamieniała się na małą kałużę stearyny. 52 stopni! 55 stopni! 57 stopni! Uciekać z namiotu — gdzieś w cieniu maliniaka lub drzewa — albo w wodzie potoku szukać ochłody!

*

*

*

Muły berberskie są kiepskie. Taka już rasa poślednia. W niczem nie mogłyby dorównać mułom Kordyljerów. Nie posiadają tej siły i wytrzymałości, które pozwalają zwierzętom iść stałem, szybkim tempem przez cały dzień. Co dziwniejsze, są bardzo mało odporne na upał. W godzinach południowych ledwie wlokły nogami i nawet klucie ostro zakończonym patykiem na nie wysokość. Z wielką biedą, sapaniem i potykaniem się weszły na Tizi n'Ochri — 3400 metrów. Nie umieją chodzić po terenie bezdrożnym. Tam, gdzie kończy się udeptana ścieżka, muł atlasowy traci odwagę. Zwierzęta te stanowczo nie mają fantazji.

A jednak! A jednak stale wysiłki jeźdźców europejskich zdołały wykrzesać z tych zwierząt iskry głęboko ukrytego temperamentu. Na płaskich, dolinowych szlakach odbywały się formalne wyścigi. Nagrodą było prowadzenie karawany przez pewien czas — do następnych wyścigów. Pamiętamy wszyscy muła, który przejął się ambicją swego jeźdźcy tak dalece, że nie dał się wyprzedzić nikomu, nawet wówczas, gdy już jeźdźcowi przestało zależeć na utrzymaniu przodownictwa. Zazdrośczonego tego bydlaka «Chudemu Mojżeszowi».

Bo wyścigi na mułach berberskich nie były lekką rozrywką. Iłż energii trzeba było włożyć na okładanie wierzchowca kijem, na łuczenie go po bokach piętami, na podniecanie go piskliwem «irrá, irrá!» I na walkę z siódmym. Berberskim siodłem bez popręgu, wpadającym na szyję muła, zsuwającym się na jego zad, przechylającym się na boki. Nic dziwnego, że mnożyły się upadki. Założono «klub spadaczy», chelpiących się jakością swych wyczynów. Prezesem miał być ten, który najwięcej upadków miał na swym koncie. Tak się jakoś złożyło, że nie trzeba było Jurkowi nawet doliczać alpejskich. Wystarczyły mu do stałej prezesury upadki z muła berberskiego.

*

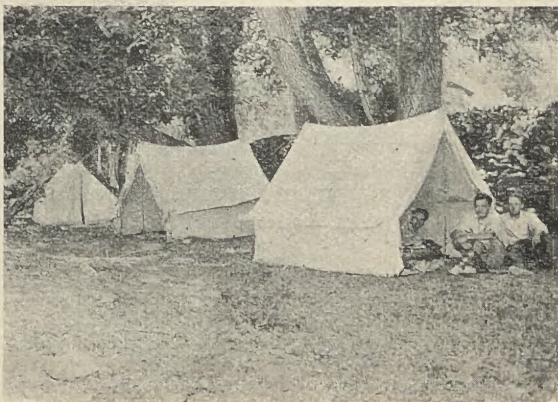
*

*

Na stromym stoku doliny wyrównali pasterze dość obszerną platformę. Otoczyli ją murkiem z glazów, misternie zbudowanym. Z jednej strony zastłania ją od wiatru potężny blok — ogromna wana. Pod waną mała koleba — tyle, by kuchnię urządzać lub schować zapasy. To «azib».

W grupie Tubkala stały obozy nasze zawsze w azibach. Białe namioty z konieczności blisko siebie rozpięte. Sznury, napinające ściany, tworzyły dziwną siatkę, która przyprowadzała o rozpacz nocnych spacerowiczów. Pamiętając o sznurach swego namiotu, napewno wysypałeś się na sznurach sąsiadów. I to jeszcze lepsza ewentualność, bo jeśliś zerwał sznur, czekała cię ładna bura od poszkodowanych.

Obozy były wysokie. W nocy ogarniał je chłód — w dzień paliło niemiłosiernie słońce. Wichry szarpały płótnem, wydymały namiot, jak balon,



Fot. J. K. Dorawski

Obóz wyprawy w Ait Attik. (Przed namiotem siedzą J. Golec i J. K. Dorawski, z namiotu wychyla się J. A. Szczepeński).

chcący ulecieć. Namiot wytrzymał stały napór wiatru dość dobrze. Najgorsze były nagle poddmuchy — bambusy podpór głównych lamały się niespodziewanie. Co jeden moment zepsuł, trzeba było naprawiać godzinami.

Na terenie M'Gunu scenerja obozowa zmieniła się radykalnie. Obciążeni wielką karawaną, obozowaliśmy w pobliżu wsi. Znajdowaliśmy się jeszcze w zasięgu drzewostanu. Sciana namiotu opierała się o potężny pień drzewa. Obóz pokrywały rozłożyste konary orzechów. Gałęzie dawały mu cień, błogosławiony w dzienną spiekotę. Gałęzie strącały nań ze swych liści groźną plagę — dokuczliwe owady, przeklinane w nocy.

Gdziekolwiek stał nasz obóz, czuliśmy zawsze wyraźnie, że jest domem naszym na obczyźnie. Kiedy przyjmowaliśmy w nim sziurów, kiedy wracaliśmy po nocy do namiotów, świecących, jak latarnie, kiedy wieczorami gromadziliśmy się w namiocie «flagowym» na długie pogawędki w ciasnocie nóg, śpiworów, garnuszków z herbatą i latarek.

* * *

JAN K. DORAWSKI

Z DNI GÓRSKICH

1.

Wysuwam termometr poza namiot. Śnieg gęsty, widoczność żadna. Góra śnieg, dołem woda. Mulnicy okopują namioty, jakbyśmy mieli walczyć z tropikalną, śnieżną powodzią.

Ostrożnie wysuwam termometr. A później odczytuję: 3°. Ładna wiosna! Po wspinaczkę i marszu, odpoczynek w obozie. Słońce.

Idziemy się ochłodzić w szumie Ait Mizan, i osuszyć w uprzejmym szeleście zalotnego wiatru.

Wieczorem ten i ów narzeka na ból głowy, mierzy gorączkę, choruje. Skóra na plecach i ramionach pierwsza pada ofiarą.

To słońce już nie pali, ale wrze. To jest słońce cięższe od gorąca, wisi nisko nad głowami i trzeba się przed niem ukrywać. Zato ziemię, bezbronną, dawno już spaliło i wysuszyło na kość. Słońce jest w Europie wysoką, niematerialną rozkoszą; tu się upał odczuwa bezpośrednio, jak deszcz lub śnieg.

Woda w manierkach omarza, gdy biwak jest w pobliżu szczytu. Dla mnie chłodna noc górską jest nagle przypomnieniem Tatr. I góry w łańcuchu śniegów, i źleby napelnione białym lodem, są nocami inne, polskie. Aż powraca dzień, i słońce, które się odczuwa.

Tak przepelnia się lato posuchą i upałem. W dzień przybycia do Nzala Argana odczytujemy 48° w cieniu. Powietrze przestaje być powietrzem, i oddech męczący, jak praca fizyczna. Jesteśmy pogrążeni w jakiejś ciężkiej i lepkiej masie, z której niema ucieczki. Położyć się i zasnąć. Ale nie można nawet spać.

Na szczycie Tinergetu słońce świeci jak tatrzańskie upalne południe. Mogę więc zwinąć ubranie i pójść nago przez przestrzeń, przepojoną blaskiem i ruchem. Od oceanu płynie czysty, górski wiatr, zarówno ciepły i chłodny. Samotnym, szerokim grzbietem idę, nago, na wysoki wierch bez nazwy. Wiatr śpiewa czysto i melancholijnie w glazach na grani. Porównywał go z rykiem żywiołu na przełęczach pod Agernddrarem, gdy w furji spychał muły ze ścieżki i z nóg je zwałal, i ze zdziwieniem porównywał go ze zjadliwym kurzem wietrznym z południa, flegmą piasku płującym oddechem Sahary.



NA PÓLNOCNEJ ŚCIANIE ARS-ZEIMU

Fot. J. K. Dorawski

W przejrzystym powietrzu nocy szczyty w promieniu Ras Mulej Ali znowu zabarwiają się Tatrami. Ale czy siny pas oceanu o zachodzie można porównać z tatrzańską otoką zmroku? Gdy wstaje dzień, słońce jest znowu rozgrzane jak huta, i tylko dostosowaniu i zahartowaniu zawdzięczam, że mogę znowu nago schodzić żlebem, szarym oceanem piargów jak w górnej Nieweyrcie.

2.

Mechanik wyprawy pomaga, uważa widać ten zabieg za związany z jego specjalnością. Siedemdziesiąt igieł — twierdzę — tkwi mi w prawej dłoni, którą nieostrożnie oparłem o dźwięczne nazwą, lecz kłujące treścią ifsky. Siedemdziesiąt igieł trzeba się starać wydobyć z zaczerwienionej skóry.

Towarzyszą nam wszędzie w Atlasie te suche, koleczaste poduszki, które poczęły kwitnąć, gdyśmy przybyli pod Tubkal, a wyglądały jak zakurzone, muzealne jeżowce, gdyśmy odjeżdżali spod Ras Mulej Ali. Jałowa, brunatna ziemia, i z niej kolce: kolce ciircium, kolce opuncyj, kolce tamaryszków. Wy-smażone na słońcu, kłują. (Słońce właściwie też smaży i kłuje).

Na górze jest skała i śnieg. Tu wreszcie znikają afryki, i trawa jest rzetelną trawą, na której można usiąść. Wpółrodku ściany Ras Mulej Ali czepiają się skał nawet kępki psiej trawki, o której obserwację proszono nas w Polsce. Ale przecież niema znaczenia psia trawka, do której nawet muflony nie dotrą?

Nigdy jednak nie zapomnę przełomu Seksaua, podróży wśród bukie-tów, wysokich jak las, i gęstych jak kosodrzewina. Raz jeden ukazała nam wówczas przyroda Atlasu sens pojęcia tropikalnej roślinności. U stóp skał, spieczonych słońcem i naznaczonych na każdym chwycie i stopniu gigantyczną szarotką Atlasu: dziobaty, pokrzywionym kaktusem, — u stóp potra-skanych skał nad mleczną, lekką wodą, płynącą w czystym cieniu, wysokie, zielone krzewy alili, ginące wśród pełnych kwiatów, różowych i różanych, były jak flory z wierszy Pawlikowskiej. Schodziły się nad wodą i schylały ku sobie brunatne i ciemno-zielone ramiona, obejmowały się i stłaczały w jeden gąszcz różanechny na dnie węzowego wąwozu. A my, związani spoj-rzeniem, ginęliśmy wśród skał i nieznuzonych skrętów parowu, wśród kwia-tów i zieleni sklepionych nad nami w żywy, falujący tunel. Otaczała nas sa-motność i cisza liści w wietrze, nad brzegiem uciekającego strumienia. Nikt z nas nie przemówił ani słowa.

3.

Po dniu tak upalnym, iż niebo patrzyło jak spoza gęstej pajęczyny, go-rąca noc wydawała się chłodna i pełna życia. W ciemnościach muły cze-kały milczące.

Przeź noc i ciemną osadę pojechaliśmy na spotkanie dnia i gór. Zie-mia była czerwona i geologiczna. Góry ponad nią wydawały się zdaleka wyż-sze, niż niebo.

O świetle grób marabuta wdzięczyl się wśród rododendronów, jak biała altana we francuskim parku. Marabut nazywał się Sidi Ali u Ahmed i żył sobie wygodnie w świętości, póki nie umarł. Teraz słynie cudami i błogo-ślawi pobliski suk. Przez park na targ, nadaremnie szukamy w nas samych poczucia pustki i oddalenia.

Słońce owinięło nas chmurą much. Jak codzień, jak zawsze. Ale ruch ploszył je od nas. Okrywały tylko gęstym rojem nieszczęsne muły.

Po dniu oczekuje nas jednak nieuchronna noc, a gdy czarnym rojo-wiskiem posną już muły w namiotach, wówczas komar przenika jak prze-znaczenie przez moskitjerę i bierze się do swego krwiożerczego dzieła.

Dla Jerzego, mrówki, moskity, muchy, skorpjony, pajaki i tym podobne — to wszystko razem *robactwo*. Umykał przed niem z miast do wsi berberskich, z dolin do namiotów, i z obozów na szczyty. Nic nie pomagało, wszędzie doścignął go wróg bezlitosny. Jakiś robak samotny, robak-rekordzista, prześladował go nawet na M'Gunie 2. Jerzy padł pierwszy ofiarą, ale wkrótce już wszyscy chodziliśmy pokąsani, opuchli, pocięci i wymięci.

Nocleg w osiedlu Afensu, to był ponury koszmar. Szkoda, że tam już Jerzego nie było.

Pomimo tego, zbrodniczy spacer tarantuli po uśpionym wędrowcu przeżyliśmy tylko w Demnat, w sugestywnych opowiadaniach na wety. Nawet z perspektywy Demnatu, jadowite skorpjony i mrówki skrzydlate miały bowiem posmak (jeśli się tak można wyrazić) przygód walecznego Tartarina.

Ale białe plamki po ukąszeniach na opalonej skórze nie ustąpiły nawet po pół roku w popowodziowej Polsce. Plamka przy plamce — białe centki na śniadej skórze, paszportowa pieczętka egzotyizmu.

4.

Przez północną ścianę Inchemara rwą trzy muflony. Zachwycamy się ich widokiem: Kielpiński i ja. Tylko my dwaj mamy szczęście spotkać strwożone resztki tych kozic Atlasu. Są grube i wielkie, jak cielaki, o, takie...

— Powiedz lepiej, że większe niż słoń — chcą ze mnie towarzysze zrobić swojskiego Tartarina.

Ale prawda zwycięża, jak mówi kazanie. Oswojony muflon w Asni ma wielkość małego osła.

Kłusownicy wyteplili te muflony, których tu pewnie było dawniej tysięcy. W całym Masywie Wschodnim, najludniejszym, nie spotkałem już ani jednego muflona, w Masywie Zachodnim zobaczyłem tylko jednego samotnika, pod Przełęczą Taželt. Krażył ostrożnie i zdaleka wokół mizernych, samopas puszczonych kóz, i widać było, że chce wśród nich szukać towarzyszeki.

...Dnem wyschniętego, szerokiego Ued el Hału schodziłem ku obozowi, w cieniu orzechów rozłożystych jak dęby. Była ciepła, wygrzana, zmysłowa cisza. Szedłem jeszcze nago, słońce świeciło ukośnie.

Ciemny, węzowy, żywy patyk spłoszył się spod nóg. Przez chwilę uniósł się nad suchy muł i znieruchomiał. I tak spojrzeliśmy na siebie: żmija i mój czekan (który pozostawiłem w obozie).

Ze zwinnym szelestem żmija zapadła pod glaz. Poszedłem dalej. Obóz był już niedaleko. Gdy mi w Ait Mallal spod kopyt muła wywinęła się taka sama uciekająca żmija, dopadli ją mulnicy, i kamieniami, czekaniem! Szybko przy ścieżce legła martwa, szklista, bezkształtna.

5.

Nowy francuski most przerzuca samochodową drogę ponad żółtą i leśniwą, barwy Wisły pod Warszawą, Ued Tessaut. Nie zawodzi jej nazwa — Rzeka Pragnienia — płynie przez kraj wysuszony i umarły, przez śnięty step toczy swe gęste i ciepłe wody, zebrane z gór. Jest brzydka i mijamy ją skwapliwie.

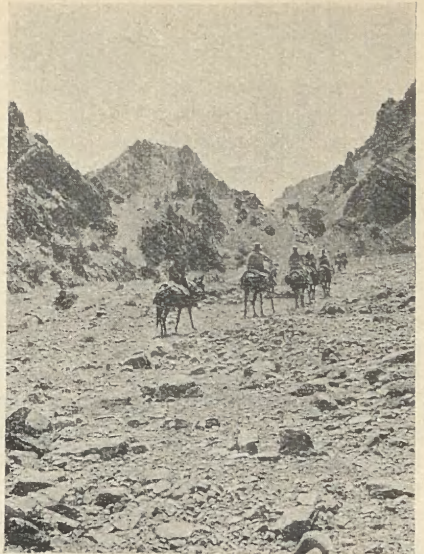
Ale tam wyżej w górach znów krzyżuje się z nią nasza droga. Jest teraz barwy oliwki ta obfita w wodę, bystra rzeka górską, płynąca doliną o równym i płaskim dnie, wśród wielkich i brązowych gór na krawędziach. Krajobraz jest zupełnie jak z powieści Karola Maya. Brakuje chyba tylko Halefa Omara i zasadzki zaczajonej ponad tym wezbranym parowem.

Gdy jednak wyżej wody Tessaut przybierają odcień liljowy i płyną w białym, kamienistym łożysku — mówię o tej rzece, że jest piękna jak Rodan pod Genewą. A jest jeszcze piękniejsza, gdyż znaczy zarazem granicę białej plamy na mapie.

Gorski, mechanik, przyrządza sobie wędkę i łowi tłuste pstrągi. Łakoma odmiana menu.

Ponad Ait Attik dorzecze Tessaut gubi się w skomplikowanym układzie kenjonów i grzbietów M'Gunu. Zewsząd spieszą strumienie górskie, aby wzmocnić Rzekę Pragnienia przed jej mozolną wędrówką po wysuszonym, nizinym ugorze. Spieszą się, skacząc dziesiątki metrów przez przewieszki parowów Arusu. Po drodze przystają na łące o wonnych kwiatkach. Łąka lśni w słońcu jak tęcza. «Hala Ichys — cud natury» (tak piszą gazety). Pachnąca, polska połonina pod słońcem jednotonnem jak step.

Na hali najwyższej są źródła, dziesiątki mszystych wykapów, z których powstanie rzeka. Te nieznanne źródła odkrywamy ze szczytu, na który wchodzimy pierwsi. Teraz rozumiem, czemu nas antyczny autobus arabski przewiózł po moście pod Demnat.



Fot. J. K. Dorawski

Nad górną Tessaut.

6.

Z żalością przyglądam się na wierzchołku Ras Mulej Ali obolałym stopom towarzysza, przekreślającym nadzieję na dodatkową wspinaczkę. A przecież wznoszą się tu opodal dziewicze szczyty, które powinniśmy jeszcze wziąć.

To są góry obce i nieznanne. Tu się jeszcze warto wysilać do ostatka. Zawsze w górach dalekich powracają wrażenia, które mię wiodły na pierwsze problemy tatrzańskie. Te najpiękniejsze, nieużyte wrażenia, gdy szczyt o polskiej nazwie mógł być jeszcze celem ostatecznym.

Ale buty towarzysza leżą o 900 metrów niżej, u stóp szczytu o nazwie arabskiej. A trzewiczki jego zdarły się na strzępy w trudnej, przewodniej wspinaczce, wiążemy je sznurkami i owijamy w gazety. Rychło bosa stopy kaleczą się jednak spowrotem o przykry piarg, i trzeba powracać jaknajszybciej i jaknajkrótszą drogą.

Zegnamy Atlas w przełomie Seksaua, w cieniu chłodnej, przejrzystej jesieni, wróżącej przedwczesne śniegi. Od wiosny do jesieni. Obce góry przestały być obce. Szkoda, że nie przykrył ich już teraz świeży śnieg, dzień powilania i pożegnania.

Kwiaty alili wędną. Z pokładu statku oddala się Marokko. Ale czarny zeszyt kronikarza pełen jest słów i treści.

Ważny spór: czy chodzi o tę treść, czy o wrażenia?

7.

Za morzem leżą góry, które znam.

JAN A. SZCZEPAŃSKI

WYSOKI ATLAS

TEREN

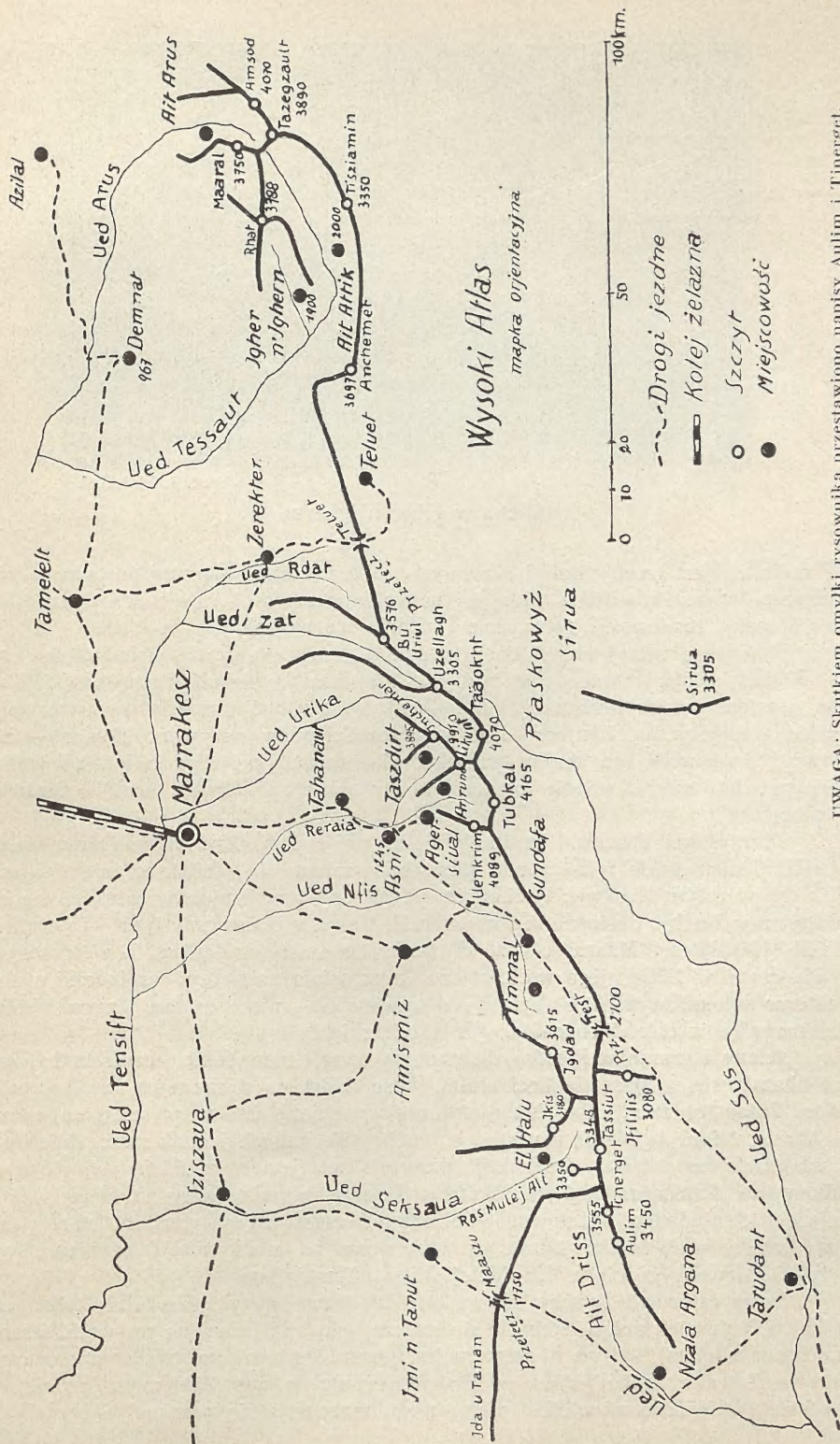
Sytuację geograficzną Wysokiego Atlasu — najwyższego łańcucha gór Afryki Północnej — omówił zupełnie wystarczająco «Taternik», XVIII, 123—126. Trzy główne pasma występują w tych górach: Masyw Zachodni od Przełęczy Maaszu (ok. 1650 m), przez którą przechodzi droga jezdna z Marrakesz przez Sziszaua i Imi n'Tanut do Nzala Argana i Agadiru, po Przełęcz Test (ok. 2100 m), którą przekracza droga jezdna z Marrakesz przez Asni i Talaat n'Yakub do Tarudantu i Agadiru; Masyw Środkowy od Przełęczy Test po Przełęcz Teluet (ok. 2000 m), którą przebywa droga jezdna z Marrakesz do Uarzazat; i wreszcie Masyw Wschodni, sięgający aż ku granicy Algieru.

Są to wszystko góry stare, zrujnowane, w znacznej części o zaokrąglonych już formach. Nie szukać tu zatem alpinistycznej smukłości iglic i turni! Szczyty mają naogół wygląd potężnych kopuł i wulkanów, dotyczy ta uwaga wszystkich trzech masywów.

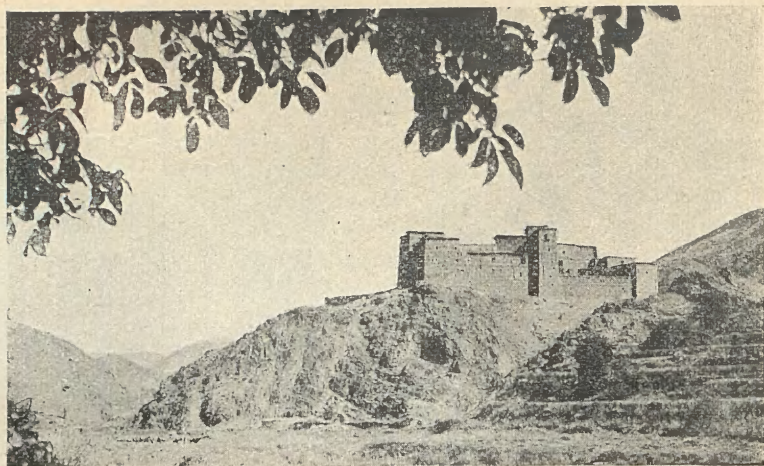
Usiłując dać charakterystykę tutejszej krainy górskiej, musimy przedewszystkiem podkreślić jeden moment: są to góry, jedne z najsilniej zaludnionych na świecie. Jadąc z Marrakeszu ku Atlasowi mijamy wielkie przestrzenie stepowo-pustynne, pozbawione wegetacji a temsamem i stalego osadnictwa. Aż nagle u brzegu gór wyrastają wsie i miasteczka, i w którąkolwiek następnie wejdziemy dolinę, co kilka km natkniemy się na nowe osiedle. Ten pozorny paradoks tłumaczy się bardzo prosto warunkami hydrograficznymi. Podczas gdy równina jest sucha i bezwodna, wsie we wnętrzu gór żywią potoki górskie, które zasila topniejący śnieg. W setkach kanałów rozprawdza się następnie tę drogocenną wodę po zboczach dolin, nawadniając skąpe poletka zboża i kultur (uprawia się niemal wyłącznie jęczmień). Wsie sięgają średnio do 2000 m wys., wyjątkowo wyżej (Taszdirt, ok. 2300 m). Łączą je wąskie, naogół zaniedbane ścieżki i przejścia mulowe, przekraczające nieraz grzbiety boczne, a wspinające się czasem nawet na grzbiet główny. Wsie te zamieszkuje szczep berberski Szleuh, zmieszany w niektórych, najłatwiej z Marrakeszu dostępnych okolicach, cokolwiek z Arabami, zresztą rasowo czysty. Szleuhowie wyznają (dość powierzchownie!) religię mahometańską, przejawszy naogół obyczaje arabskie, za wyjątkiem haremowego zamknięcia kobiet. Jest to lud wojowniczy i gościnnie, o żywych tradycjach feudalnych, naogół dość pracowity (jak wszędzie w Afryce, główny ciężar pracy fizycznej spada zresztą na kobiety). Wydaje się jednak, że i w pracowitości i przedsiębiorczości Szleuhów zachodzą dość znaczne różnice zależnie od plemienia: tak więc gdy plemiona M'Gun, Ftuka, Seksaua i t. p. we Wschodnim i Zachodnim Masywie mieszkają po wsiach ludnych, zasobnych i względnie zamożnych, plemiona Reraia i Gundafa Masywu Środkowego już na pierwszy rzut oka wydają się znacznie uboższe: domy w ich wsiach są to nędzne rudery, spośród których niewiele wyróżnia się kazba sziura, będąca natomiast u sąsiadów wzbudzającą respekt, wielką kamienną budowlą.

Doliny Wysokiego Atlasu są naogół otwarte i łatwo dostępne, wsie Szleuhów tworzą wśród nich malownicze oazy zieloności. Nigdzie niema lasów ani jezior (za wyjątkiem zielonego Jez. Ifni na pd. od Tubkalu), tylko po wsiach rosną pojedyncze, ogromne i nadzwyczaj rozłożyste orzechy. Roślinność jest bardzo skąpa, trawniki spotyka się wyjątkowo. Krajobraz urozmaicają oliwki (do wys. 1800 m) i orzechy (do wys. 2300 m), a dalej ogromne łany opuncyj w górze i różanecznika wdole. Aż ku szczytom sięgają, liljowo (w czerwcu i lipcu) kwitnące suchorosty, nazywane przez tubylców ifsky (*Circium chryzacantum*).

Ubożej florze odpowiada równie uboga fauna, wielkich ptaków drapieżnych niemal się nie spotyka, muflony (barany górskie) wytopiono niemal doszczętnie.



UWAGA: Skutkiem omyłki rysownika przedstawiono napisy Aulim i Tinerget.



Fot. J. Kielpiński

Kazba w Igher n' Igherm.

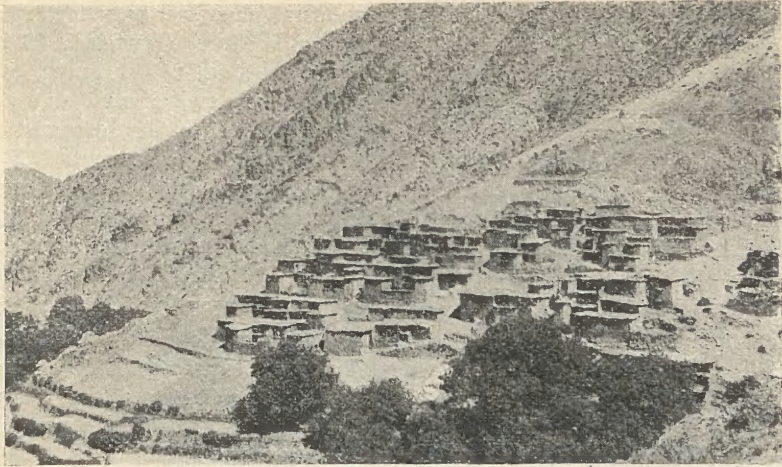
W dolinach jest trochę żmij i skorpionów, ale nie stanowią one poważnego niebezpieczeństwa. Prawdziwą plagą są natomiast mrówki i roje much, szczególnie zaś komary, roznosiciele paludyzmu (malaria marokańska).

Doliny są raczej monotonne, nierzadko tworzą jednak głębokie kenjony, a wówczas mogą rywalizować z najslawniejszymi z piękności wąwozami. Taki np. przełom potoku Seksaua (20 km dług.) mógłby być wszędzie pierwszorzędną atrakcją turystyczną. Kenjony takie — przez Szeleuhów nazywane kheneg — stanowią jednak zazwyczaj ciężką przeszkodę komunikacyjną, gdyż są z reguły trudno dostępne lub nawet wogóle niedostępne (np. kenjon potoku Arus w Masywie Wschodnim).

Piargami zboczami można z dolin wejść nierzadko aż na same wierzchołki. Gdziekolwiek tylko ponad piargami wznoszą się skaliste granie i ściany. Tak np. w całym Masywie Wschodnim ponad zerwami kenjonów wznoszą się zaokrąglone wierzchy, dostępne bez wspinaczki. Nawet alpinistyczny (por. «Taternika», XVIII, 126) Dżebel Maaral okazał się w istocie zniszczoną górą, łatwo dostępną. A obejrzana w 1932 r. jego wsch. strona, która miała nastęrczyć wspinaczki o charakterze dolomitowym (*l. c.*) była w rzeczywistości — nieco trudna. Masyw Wschodni ma więc w całości charakter gór narciarskich.

Ściany i granie w Reraia i Seksaua są naogół niewysokie, przyczem najwyższe okazały się w Masywie Zachodnim, gdzie doliny są stosunkowo najniżej położone. Tutaj też szczyt Ras Mulej Ali posiada ścianę 900 m wysoką, najwyższą w Atlasie. Ściany są nieraz urwiste i b. trudne. Nie jest ich jednak szczególnie dużo i właściwie po polskiej eksploracji pozostało ich jeszcze niezdobytych zaledwie kilkanaście. Amcharas n'Igliua, Likumt i Tinerget przedstawiały najwięcej interesujące pod względem sportowym problemy. Z zadań alpinistycznych, które pozostały jeszcze w Wysokim Atlasie do wykonania, na czoło wybija się niewątpliwie przejście urwistą granią z Ras Mulej Ali na Temtdadem.

Skąły są naogół kruche, ale suche. Oblodzenie spotyka się latem tylko wyjątkowo. Wyprawa polska zetknęła się z niem tylko raz jeden (na pn.-wsch. ścianie Amcharas n'Igliua). Śniegu w czerwcu jest jeszcze dużo, niemal tyle co analogiczną porą w Tatrach. Znika jednak szybko, w sierpniu na wys. 3500 m już go się nie spotyka. Pojedyncze, niewielkie płyty śniegu utrzymują się pomimo to przez cały rok.



Fot. J. Kiełpiński

Taszdirt, najwyższa wieś Atlasu.

Niegdyś, nietylko pokrywał Wysoki Atlas wieczny śnieg, ale występowały również lodowce. Skąpe opady położyły im kres. Dziś góry te otrzymują opady niemal wyłącznie w zimie, przyczem powyżej 3000 m z reguły w formie śniegu, schodzącego aż w głąb dolin, średnio do 1500 m wys. (wyjątkowo niżej). Śnieg ten jest główną rezerwą wodną. W lecie pada deszcz, powyżej 3500 m przechodzący zazwyczaj w śnieg. Okres niepogody trwa jednak zawsze krótko.

Stalą cechą omawianych gór są natomiast potężne wichry, wiejące od pd. Wichry te osiągają szybkość 50 m/sek., a zatem już nasilenie huraganu. Dni pozbawionych wiatru jest średnio połowa w roku.

Inną trudnością klimatyczną jest insolacja. Suchość powietrza pozwala dobrze znosić temperatury lata w Atlasie, zresztą w górach nie są one nigdy zbyt wysokie (w południe zapisywałem ok. 25°). W słońcu dosięga jednak temperatura 60° i wyżej. Kwestję odporności rozwiązuje tu aklimatyzacja. Zbyt forsowne i szybkie przejście z równin na szczyty omal w 1932 r. życiem nie przypłacili na Tubkalu Kröner i tow. Wyprawa polska natomiast ucierpiała od słońca stosunkowo niewiele. Noce są zawsze chłodne, w okolicy 4000 m panują stale przymrozki. W końcu czerwca na wys. niespełna 3500 m mieli polscy alpinści temperaturę w czasie nocnego biwaku poniżej zera, natomiast z początkiem sierpnia na wys. ponad 3000 m już 11° ciepła.

DZIEJE ALPINISTYCZNE

Wspaniale i imponujące, choć nie wolne od błędów, dzieło Waltera Schmidkunza «Alpine Geschichte in Einzeldaten» — wcielone do encyklopedycznego «Alpines Handbuch» — po raz pierwszy notuje pozycję Wysokiego Atlasu pod 1789 r.: «Anglik Lemprière przekracza Wysoki Atlas w podróży z Tarudantu do Marokka». Ale to jest prehistorja tych gór, którą możemy tak samo pominąć jak dzieje pierwszych ekspedycyj angielskich (z lat 1871 i 1888), którym nie udało się jeszcze dotrzeć do głównego łańcucha (por. «Taternika», XVIII, 126). Podobnie bez większego znaczenia minęły podróże A. Brivesa i L. Gentila, oraz małżeństwa G. Jacqueton, podejmowane w latach 1901—1908, częściowo w tow. markiza de Segonzac. Miały one raczej charakter turystyczny i naukowy, i ograniczały się do przebycia najłatwiej dostępnych przełęczy.

Dopiero od 1922 r. rozpoczyna się regularna ofensywa wysokogórska, narażenie ograniczona do Wielkiego Atlasu Marrakeszu. W dniu 5 kwietnia 1922 r. atakuje H. de Segonzac i towarzysze Dżebel Agelzim od strony Arrundu; próba zalamuje się na wys. ok. 3600 m. Niepowodzeniem kończy się również próba wejścia na Tubkal. Już jednak w lecie t. r. H. Dolbeau, O. Dorée, H. de Segonzac i H. Ungemach wchodzi na Tifnut-Taraokht (4070 m), a w dniu 12 czerwca 1923 r. Dolbeau, de Segonzac oraz V. Berger na Tubkal (zwykłą drogą od pn.-zach.). Od 1924 r. rozpoczynają systematyczne wędrówki w tym terenie alpinisci Balay, Champeaux, Montagne i de Prandières. Zwiedzają oni Amcharas n'Igliua, oraz dokonują II. w. na Tubkal, schodząc zeń po raz pierwszy w Dol. Ifni. Ponadto Jacques Balay zwiedza samotnie Agudel n'Mzier, Uenkrim Południowy i Dżebel Anhur (3614 m).

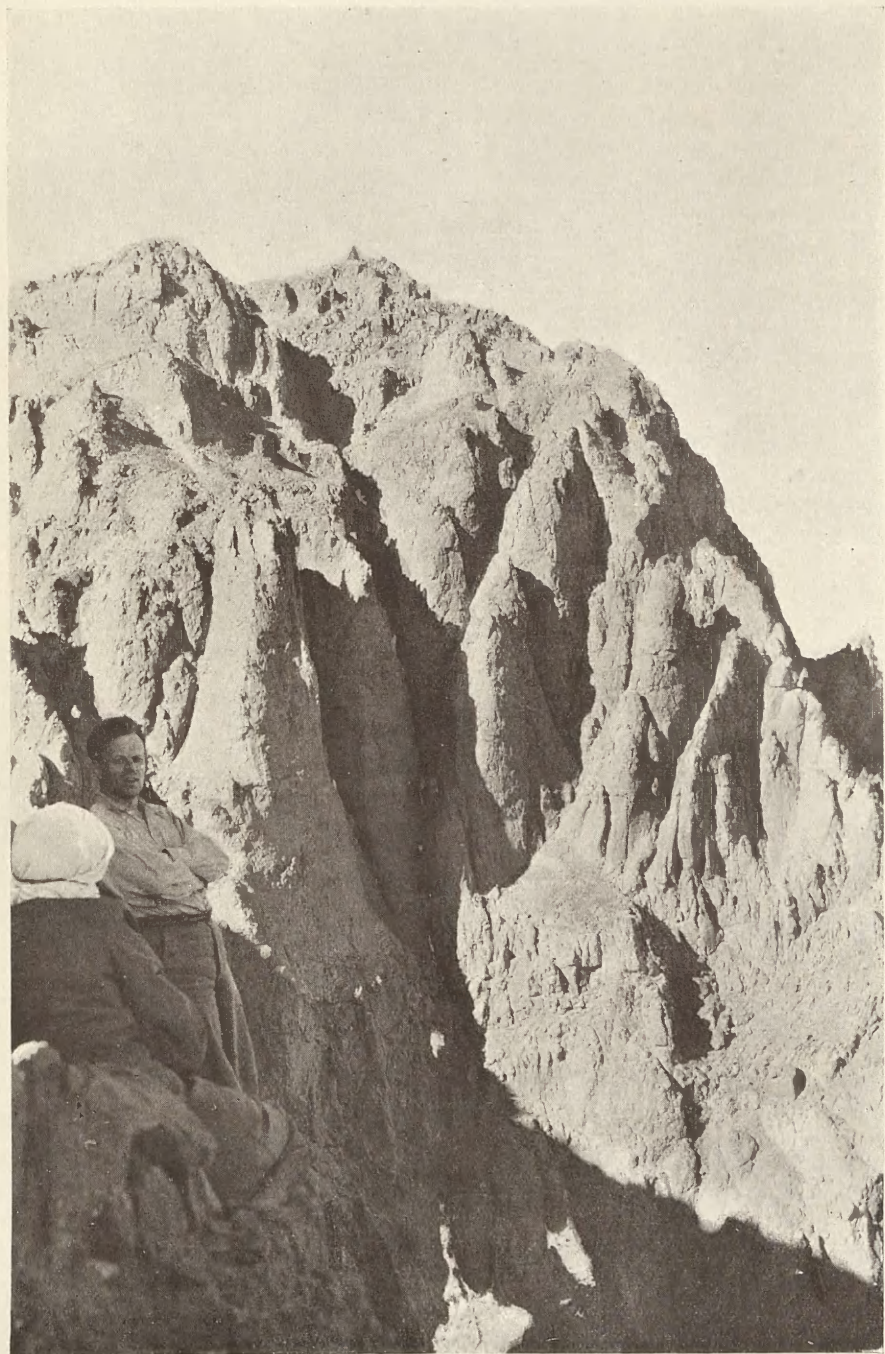
Dnia 19 czerwca 1924 r. Maurice de Prandières zdobywa Dżebel Inchemar. Tegoż roku, w lipcu, przybywa do Atlasu po raz pierwszy Jacques de Lepiney, aby podjąć w tych górach dłuższą i systematyczną działalność. Rozpoczyna od pokonania (w zejściu; wraz z de Prandières) pn. ścianę Dżebel Anhur; w grudniu 1925 r. dodaje do tego sukcesu I. w. zim. na Inchemara.

W maju 1926 r. wchodzi Regnault Sarrasin na Dżebel Likumt i przechodzi stąd granią przez Dżebel Taszdirt na Inchemara; dokonywa również III. w. na Tubkal. W tym samym czasie C. Boller i M. de Prandières zdobywają pn. ścianę Inchemara Zachodniego, dwa miesiące później ginie tutaj Mercier Riondel. Na lata 1927—1928 przypada teraz okres świetnych i przedewszystkiem alpinistycznych wypraw Louis Neltnera, Jacques de Lepiney i André Stofera. Najcelniejsze ich zdobycze (I. prz. grani Uenkrimów, I. prz. grani Aksualu i IV. w. na Tubkal, a I. jego pd.-wsch. grani) wymienia już «Taternik», XVIII, 127. W dniu 24 czerwca 1927 r. dokonali oni pozatem (Lepiney i Stofer) I. prz. ściśle granią z Likumtu na Inchemar, dnia 30 grudnia t. r. I. prz. grani Turni Aksual i II. na Aksual, i wreszcie dnia 22 czerwca 1928 r. I. w. na Szczyt Wielkiego Potoku. W tym samym czasie Montagne zwiedza Dżebel Ifililis (3080 m) i Dżebel Melsen (3588 m), oraz dokonywa II. w. na Dżebel bu Uriul (3576 m). Wreszcie Neltner wchodzi na Ras Timesgida (3838 m), poczem dwukrotnie — w kwietniu 1927 r. i w czerwcu 1928 r. — dociera też do Masywu Zachodniego, gdzie w pierwszej wyprawie dokonywa wejść na Aulim i Timerget, a w drugiej na Ras Mulej Ali i na Aulim od Tizi n'Umassa. Aby odrazu skończyć z historią zwiedzania tego łańcucha, dodajmy już tutaj, że w Masywie Zachodnim działał jeszcze tylko prof. Dresch z Rabat, który w 1933 r. dokonał I. prz. jego grani głównej (m. i. I. w. na Dżebel Temtdadem 3340 m i Dżebel Tassiut 3348 m) i opracował teren kartograficznie.

W Masywie Centralnym po zdobyciu głównych szczytów i najpiękniejszych grani zainteresowanie alpinistyczne Francuzów osłabło, zaczął się natomiast okres obcych ekspedycji, który zresztą już w 1926 r. otworzył wypad Amerykanina Alberta Rand Herrona.

W kwietniu 1926 r. wchodzi Herron na Likumt (III. w.), poczem usiłuje wejść na Tubkal przez pn.-zach. grań Imus-zera. Dociera tylko do Tikint n'Uanas. Nazajutrz jednak zdobywa Aferrui przez Tizi n'Imus-zer. W tym samym czasie (dnia 9 kwietnia) wchodzi Szwajcarzy M. Blumenthal, dr. D. Dutoit, M. Roch i małżeństwo Staub na Dżebel bu Uriul.

W kwietniu 1929 r. przybywają do centralnej części Atlasu Szwajcarzy Hermann Bossard, Walter Hauser i Henri Rebsamen. Dnia 11 t. m. uzyskują oni IV. w. na Likumt, a dnia 13 t. m. V. w. na Tubkal. W maju i czerwcu t. r. działają A. i G. P. Bakerowie i B. Beetham. Ale tylko Beetham wchodzi na szczyt: VI. w. na Tubkal, III. w. na Uenkrim Południowy, Agudel n'Mzier i Amcharas n'Igliua, II. w. na Uenkrim Północny i zapewne dopiero I. w. na Assif n'Timellit i Dżebel Agelsim. W sierpniu 1932 r. pracuje tu botaniczna wyprawa Brecht-Bergena, która dnia 12 t. m. staje jako VIII partja na szczycie Tubkalu (VII. w. podejmują topo-



TUBKAL OD POŁUDNIA

Fot. J. K. Dorawski

grafowie francuscy dnia 8 sierpnia 1931 r., budując wówczas na wierzchołku piramidę triangulacyjną). W tym samym czasie Włosi Miro Botteri, Mario Dugan i dr. Andrea de Pollitzer-Pollenghi przechodzą duży szmat głównej grani; dnia 11 sierpnia 1932 r. I. w. na Dżebel bu Uszab i część Turni Uanums, nazajutrz IX. w. na Tubkal, dnia 13 sierpnia II. w. na Aferrui i I. w. na Aguidad oraz Dżebel Tiszki, wreszcie dnia 15 sierpnia II. prz. grani Aksuału i V. w. na Likumt. Wreszcie w zimie 1932/33 r. działa w Masywie Wschodnim Węgier Gyula Posselt, który wchodzi na Dżebel Tidili (3576 m) i Dżebel Anremak (3194 m), mając w całym tym obszarze za jedyne poprzedników kartografów francuskich, budowniczych kopców szczytowych na Amsodzie i (zapewne) Rhacie (I. w. na Amsod: kpt. Goevaers i tow., w lecie 1931 r.; II. w. na Amsod: J. de Lepiney i tow., w lecie 1932 r.).

W zakończeniu, osobno, chcę wreszcie wyodrębnić i omówić wyprawę Niemców z Monachjum, Andrzeja Heckmaira, Gustawa Krönera i braci Arweda i Fedora Möhnów nie tylko dlatego, że przed 1934 r. osiągnęła ona w Atlasie najlepsze wyniki alpinistyczne, ale przede wszystkim dlatego, że, podobnie jak polska wyprawa, te właśnie ściśle alpinistyczne cele miała na oku. Była ona już przytem w «Taterniku» parokrotnie omawiana, a zawsze błędnie, zresztą z winy samych uczestników tej wyprawy, którzy niedostatecznie obznajomieni z toponymją i topografią Atlasu, podawali wiadomości nadzwyczaj mylne, balaмутne i nawet sprzeczne z sobą. Dopiero autopsja i specjalne badania w terenie pozwoliły mi wyjaśnić i ustalić prawdziwy przebieg ich działań.

W głębi gór bawili alpinści niemieccy wszystkiego 8 dni (od 23 sierpnia do 1 września 1932 r.), przez cały czas mając bazę operacyjną w schronisku Arrund. Na dłuższy pobyt brakowało im pieniędzy, niedarmo osiągnęli przecież swą awanturniczą wyprawą (p. «Taternik», XVII, 86) rekord taniości wypraw egzotycznych (ale też jak heroicznymi środkami! mieszkali np. opodal Marrakeszu w namiocie, gdyż nie stać ich było na hotel). Działalność górską rozpoczęli dnia 26 sierpnia. Podczas gdy Heckmair, chory na żołądek, pozostał w schronisku, trzej pozostali uskuteczniłi I. w. wsch. grzędą na Agelzim, drogą częściowo b. trudną, poczem zeszli z przełęczy na pn. od Tadat. Uzgadniam w ten sposób z terenem wątpliwe informacje, aby do reszty nie zaciemniać i tak już mętnego obrazu; chociaż jest dość prawdopodobne, iż Kröner i tow. weszli tegoż dnia jedynie na jakiś nienazwany wierch (najpewniej P. 3760 m) znacznie na pn. od właściwego Agelzimu: na to by wskazywała przynajmniej zarówno mapka Krönera jak i pewne uwagi w jego opisie.

Nazajutrz Heckmair i Kröner przeszli pn.-wsch. grań Kopy Uanums (I. prz.), skąd weszli jako X partja na Tubkal. Cierpiełi bardzo od klimatu, «diese Fahrt war mein und auch Anderls grösster alpiner *Schlauch!*» pisze o niej Kröner, zdobywca pn. ściany Grands Charmoz. Tegoż dnia bracia Möhn przeszli pn.-wsch. i pd. grań Imus-zera (I. prz.) i weszli (XI. w.) na Tubkal.

Wreszcie dnia 30 sierpnia jako pierwsi przechodzą ci alpinści pn.-wsch. grań Assif n'Timellit, poczem przez Amcharas n'Iglia (IV. w.) schodzą na Tizi n'Agudel n'Mzier i stąd do Ait Mizan.

Na wyprawie niemieckiej skończyła się lista obcych poprzedniczek polskiej wyprawy. Na podstawie zapisków w schronisku Arrund nie sposób stwierdzić czy w 1933 r. odbyły się jakie lokalne wejścia na Tubkal: czytamy tam jedynie o próbie — nieudanej — oficerów francuskich wejścia nań w maju 1934 r. Z rozmów jednak, przeprowadzonych na miejscu w Marrakesz, można śmiało przyjąć, iż oprócz jedenastu wymienionych na tem miejscu, dokonano conajmniej kilku jeszcze wejść na Tubkal, oczywiście zwyczajną drogą; chociaż nawet tak prosta wycieczka nie jest wśród, złożonej raczej ze skromnych turystów, Sekcji Marokańskiej Francuskiego Klubu Alpejskiego bynajmniej pospolitą zjawiskiem.

BIBLIOGRAFJA

1. Baker G. P., The High Atlas and Marrakech: a Note («Alpine Journal», nr. 242, z maja 1931 r., str. 147—151).
2. Ball John, Mountaineering in the Great Atlas («Alpine Journal» VI, str. 220—231).
3. Blumenthal Moritz, Ein Vorstoss in den Hohen, Mittleren und den Sahara-Atlas («Die Alpen — Les Alpes — Le Alpi» z 1927 r., str. 401—415).
4. Carte de reconnaissance du Maroc au 100.000. Wyd. Service Géographique du Maroc (wyszła dopiero część arkuszów).
5. Delaye Th. J. cpt, Carte touristique du Grand Atlas de Marrakech (Éditée par le Fédération des Syndicats d'Initiative et de Tourisme du Maroc et la Section marocaine du Club Alpin Français, 1930).
6. Hauser Walter Dr., Im marokkanischen Atlas («Der Bergsteiger» z kwietnia 1932 r., str. 415—419).
7. Hauser Walter (Mitarbeit: Henri Rebsamen und Hermann Bossard), Im marokkanischen Atlas («Die Alpen — Les Alpes — Le Alpi», z 1929 r., str. 322—330).
8. Heckmair Andreas und Kröner Gustav, Bergsteigerfahrt in den Hohen Atlas («Deutsche Alpenzeitung» z 1933 r., str. 1—15).
9. Jaqueton G., Excursion dans l'Atlas marocain («La Montagne» z 1912 r., str. 514—520).
10. Lepiney Jacques de, The Mountains of Morocco: The High Atlas («Alpine Journal» nr. 237, z października 1928 r., str. 222—234).
11. Lepiney Jacques de (renseignements de...), Courses nouvelles Groupe de Haute Montagne: Djebel Aksoul (3860 m) et Djebel Likoumt (3907 m) par l'arête O. — Djebel Iguenouane (3872 m) par l'arête Ouest («La Montagne» z 1929 r., str. 191—192).
12. Lepiney Jacques de (renseignements de...), Djebel Inni ou Toubkal («La Montagne» z lipca 1923 r.).
13. Lepiney J. de, Neltner L. et Stofer A., Carte-esquisse orographique des Massifs de l'Inghemar, du Likoumt, du Toubkal et de l'Ouenkrime. Echelle: 1:40.000 (Club Alpin Français, Section du Maroc, 1930).
14. Maroc au 200.000 (Wyd. Service Géographique du Maroc).
15. M. G., Aus dem Hohen Atlas («Österreichische Alpenzeitung» z października 1931 r.).
16. Möhn Arwed, Als Bergsteiger nach Marokko («Österreichische Alpenzeitung» z 1933 r., str. 10—13).
17. Neltner Louis, Impressions d'Atlas. Au Toubkal («La Montagne» z 1928 r., str. 121—128).
18. Neltner Louis, Le Massif Central du Haut Atlas («Manuel d'alpinisme», Chambéry 1934, tom I., str. 373—383).
19. Neltner Louis, Notes sur le Haut-Atlas («La Montagne» z 1929 r., str. 217—286).
20. Pollitzer - Pollenghi Andrea de, L'Atlante. La traversata per cresta dei massicci del Toubkal e del Likoumt («Rivista Mensile del Club Alpino Italiano» z 1933 r., str. 350—361 i 409—423).
21. Pollitzer - Pollenghi Andrea de, The Atlas Mountains («Alpine Journal», nr. 246 z maja 1933 r., str. 96—120).
22. Posselt Gyula, Siturám Marokkóban («Turistak Lápja» z 1933 r., str. 321—326).
23. Rand Herron Alberto, L'Alto Atlante e le prime ascensioni delle cime Est e nord del Gebel Tubkal («Rivista Mensile del Club Alpino Italiano» z 1928 r., str. 2—6).
24. Segonzac Marquis de, Au Maroc («La Montagne» z 1923 r., str. 33—45).
25. Tatarnik, zeszyt specjalny z kwietnia 1935 r., poświęcony Polskiej wyprawie w Wysoki Atlas.
26. Wyprawa polska w Atlas («Tatarnik» z 1934 r., str. 121—128).

PRZYGOTOWANIE, PRZEBIEG I WYNIKI WYPRAWY (SPRAWOZDANIE OFICJALNE)

I. CEL WYPRAWY, JEJ ORGANIZACJA I SFINANSOWANIE

W «Taterniku», XVIII, 121 i 122, dość dokładnie omówił już podpisany komitet dzieje tworzenia i doprowadzenia do skutku Polskiej Wyprawy w Wysoki Atlas 1934 r. Opiekę nad sprawami wyprawy pełnił honorowy komitet organizacyjny z prof. dr. Walerym Goetlem jako przewodniczącym. Techniczny komitet organizacyjny tworzyli projektodawcy wyprawy: Jan Kiełpiński i Jan A. Szczepański. Honorowy protektorat nad wyprawą objęli: wicem. inż. Aleksander Bobkowski, oraz Zarząd Główny, Sekcja Turystyczna i Oddział Krakowski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.



Fot. J. K. Dorawski

Uczestnicy wyprawy.

Od lewej: S. Groński, J. Kiełpiński, Z. Korosadowicz, B. Chwaściński, J. A. Szczepański, K. Piotrowski, J. Golec, J. K. Dorawski, J. Wojsznis i L. Gorski

Wyprawę zorganizowano jako ogólnopolską, dlatego też wzięli w niej udział taternicy z rozmaitych środowisk w ogólnej liczbie dziewięciu. A mianowicie: 1) Bolesław Chwaściński (Warszawa), 2) dr. med. Jan Kazimierz Dorawski (Kraków), 3) Jerzy Golec (Sztrasburg), 4) dr. Ludwik Gorski (Kraków), 5) mg. Stanisław Groński (Poznań), 6) inż. Jan Kiełpiński (Kraków), 7) Zbigniew Korosadowicz (Zakopane), 8) red. Jan Alfred Szczepański (Kraków), 9) Justyn Wojsznis (Warszawa). W podróży do Atlasu i w pierwszych dniach działań górskich towarzyszył ponadto wyprawie dr. Kazimierz Piotrowski (Kraków), ówczesny prezes Sekcji Turystycznej PTT.

Kierownictwo wyprawy objął dr. Jan K. Dorawski, jej skarbnikiem został mg. St. Groński. Szereg innych funkcji specjalnych rozdzielono pomiędzy pozostałych uczestników wyprawy.

O celach wyprawy wypowiedział się już «Taternik», XVIII, 128. Dla realizacji tych celów zgromadził komitet następujące sumy:

1) 6130 zł z Funduszu Alpinistycznego im. Mieczysława Świerza, administrowanego przez Sekcję Turystyczną PTT, a mianowicie:

a) z dotacji Zarz. Gł. na ów fundusz za lata 1933 i 1934	3000 zł
b) z wpłat na tenże fundusz różnych Oddziałów P. T. T.	3130 »

2) specjalna subwencja Państw. Urz. Wychowania Fizycznego	2000 zł
3) specjalna subwencja Sekcji Turystycznej PTT	1513 »
4) specjalna subwencja Oddziału Krakowskiego PTT	1000 »
5) specjalna subwencja Zarządu Głównego PTT	1000 »
6) specjalna subwencja Oddziału Poznańskiego PTT	500 »
7) fundusze prywatne uczestników wyprawy	3100 »

Razem w kasie wyprawy znalazło się zatem 15.243 zł, do których jako rezerwe kasową dołączono 1500 zł pożyczki, zaciągniętej w Oddziale Krakowskim PTT.

Z tej ogólnej sumy, wydatki przed rozpoczęciem wyprawy (na sprzęt, literaturę i t. p. oraz opłaty za przejazd z Krakowa do Casablanca) wyniosły 4463 zł. Z pozostałej kwoty 12.280 zł przywieziono spowrotem nienaruszoną pożyczkę od Oddziału Krakowskiego (którą natychmiast zwrócono) oraz 279 zł kapitału; tę ostatnią kwotę obrócono później na opracowanie materiału fotograficznego.

O licznych i wyteżonych pracach przygotowawczych do wyprawy informował już «Taternik», XVIII, 122. Na tem miejscu składamy serdeczne podziękowanie tym wszystkim czynnikom, które swoim poparciem, współpracą i subwencjami umożliwiły dojście wyprawy do skutku i wypełnienie przez nią jej zadań. W szczególności składamy serdeczne podziękowanie wszystkim czynnikom, które objęły protektorat nad wyprawą, oraz komitetowi honorowemu wyprawy z p. prof. dr. Walerym Goetlem, niestrudzonym propagatorem, orędownikiem i obrońcą idei górskich wypraw egzotycznych, na czele — jak również pp. prezesom Oddziałów: Krakowskiego i Poznańskiego, dr. Janowi Nowickiemu i dr. Tadeuszowi Smoluchowskiemu, i całym Zarządom tych Oddziałów. Raz jeszcze okazało się, że te Oddziały PTT żywią zarówno pełną życzliwość dla Sekcji Turystycznej (z którą łączą je węzły tradycyjnej przyjaźni), jak również, że posiadają pełne zrozumienie dla ważności i znaczenia polskich wypraw alpinistycznych. Z przyjemnością zresztą stwierdzić możemy, że zrozumienie celu i ważności tych wypraw uocniło się w całym Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem, na co najlepszym dowodem jest wysokość kwoty, jaką zdołano zebrać z Oddziałów na Fundusz im. Mieczysława Świerza. W punktualnem wpłaceniu obowiązkowych sum na ten fundusz należy wyróżnić zarówno Oddział Warszawski i Tarnowski, jak i liczne Oddziały zachodnio- i wschodnio-beskidowe.

Z czynników, stojących poza PTT, niezmiernie znaczenie miało dla nas życzliwe stanowisko Min. Skarbu (bezpłatne paszporty) oraz Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego z p. pułk. Kilińskim na czele. Tylko subwencji, której P. U. W. F. udzielił wyprawie, zawdzięczać mogliśmy pełne wykonanie programu, t. j. penetrację również Masywu Zachodniego Wysokiego Atlasu.

Wyprawa trwała od dnia 4 czerwca do dnia 11 sierpnia 1934 r. i wypełniła wszelkie swoje zamierzenia, tak wysokogórskiej jak i propagandowej natury.

II. OBRAZ DZIAŁALNOŚCI WYPRAWY

1. PODRÓŻ.

4 czerwca. Wieczorem sześciu uczestników wyprawy odjeżdża koleją do Wiednia. Dwóch innych czyni to dobę później.

5 czerwca. Pobyty w Wiedniu, uzupełnianie sprzętu wysokogórskiego i podróźniczego.

6—7 czerwca. Podróż do Marsylii (8 uczestników), drogą przez Wenecję i Medjolan.

8 czerwca. Pobyty w Marsylii, uzupełnianie sprzętu obozowego i naukowego. Przyjazd Golcza ze Sztrasburga. Wizyta Dorawskiego i Golcza u konsula polskiego i uzyskanie listu polecającego. Przybycie Piotrowskiego.

9—11 czerwca. Podróż morzem do Casablanca, II klasą statku pasażerskiego «Djenné» (za zniżoną do połowy opłatą). Formalności celne w Casablance nasuwają poważne trudności, likwiduje się je z pomocą p. Władysława Radziwańskiego, attaché konsulatu polskiego w Casablance, oraz p. de Mazières, prezesa Sekcji Marokańskiej CAF.

2. ORGANIZACJA WYPRAWY W CASABLANCA I MARRAKESZ.

12 czerwca. Dorawski i Piotrowski jadą do Rabat, złożyły wizytę w «cabinet diplomatique» franc. rezydenta generalnego i w Service du Tourisme, celem uzyskania pisma polecającego do generała, komenderującego okręgiem Marrake-



Fot. J. Wojsznis

NA WIERZCHOŁKU TUBKALU



Fot. J. K. Dorawski

WIDOK Z TUBKALU NA GNIAZDA LIKUMTU I INCHEMARA

szu. Golecz i Szczepański udzielają informacji przedstawicielom prasy marokańskiej, na specjalnej konferencji, zainicjowanej przez p. Radziwanowskiego, poczem ośmiu członków wyprawy odjeżdża zaraz w południe do Marrakesz (240 km autostrady). Dorawski i Piotrowski składają szereg dalszych wizyt w Casablanca (konsulowi honorowemu R. P. p. Roucher, prezesowi de Mazières etc.), poczem nazajutrz równie jadą do Marrakesz, gdzie wyprawa zakłada swoją podstawową bazę operacyjną, i gdzie wspólnie z władzami francuskimi ustalano szczegóły organizacji karawan i terenu objętego eksploracją oraz uskuteczniiano zakupy żywności. Stosownie zatem do podziału ekspedycji na trzy główne etapy, trzykrotnie wyruszano i powracano do Marrakeszu, przyczem za każdym razem szereg zajęć, związanych z należytem funkcjonowaniem wyprawy, wymagał pobytu w tem mieście po parę dni.

Pierwszy pobyt w Marrakeszu wypadł na dni 13—15 czerwca. Dorawski i Piotrowski złożyli wizytę gen. Catroux, komendantowi okręgu wojskowego Marrakeszu, poczem — wraz ze Szczepańskim — udali się do mjr. Boyer, szefa Service des affaires indigènes, z którym ustalono na mapie zasięg terenu, dostępny dla wyprawy; objął on wszystkie tereny ważne pod względem alpinistycznym czy eksploracyjnym. Szczegóły omawia później Dorawski z kpt. Chollet, któremu poruczono kontakt z wyprawą. Pozatem Dorawski i Piotrowski nawiązują kontakt i uzyskują poparcie ze strony Syndicat d'Initiative. Równocześnie Chwaściński i Kiełpiński zakupują potrzebną żywność, której upakowanie, jak również zapakowanie sprzętu wysokogórskiego i indywidualnego, przeprowadza Gorski. Wreszcie poszczególni uczestnicy wyprawy piszą pierwsze sprawozdania dla dzienników.

Drugi pobyt w Marrakeszu objął dni 2—4 lipca. Znowu Dorawski i Golecz konferowali z władzami i organizacjami turystycznymi, Chwaściński i Kiełpiński zakupywali żywność, pakował i dzielił ją Gorski. Przesłano też urzędowe sprawozdania z wyników wyprawy, oraz napisano b. wiele korespondencji do pism polskich.

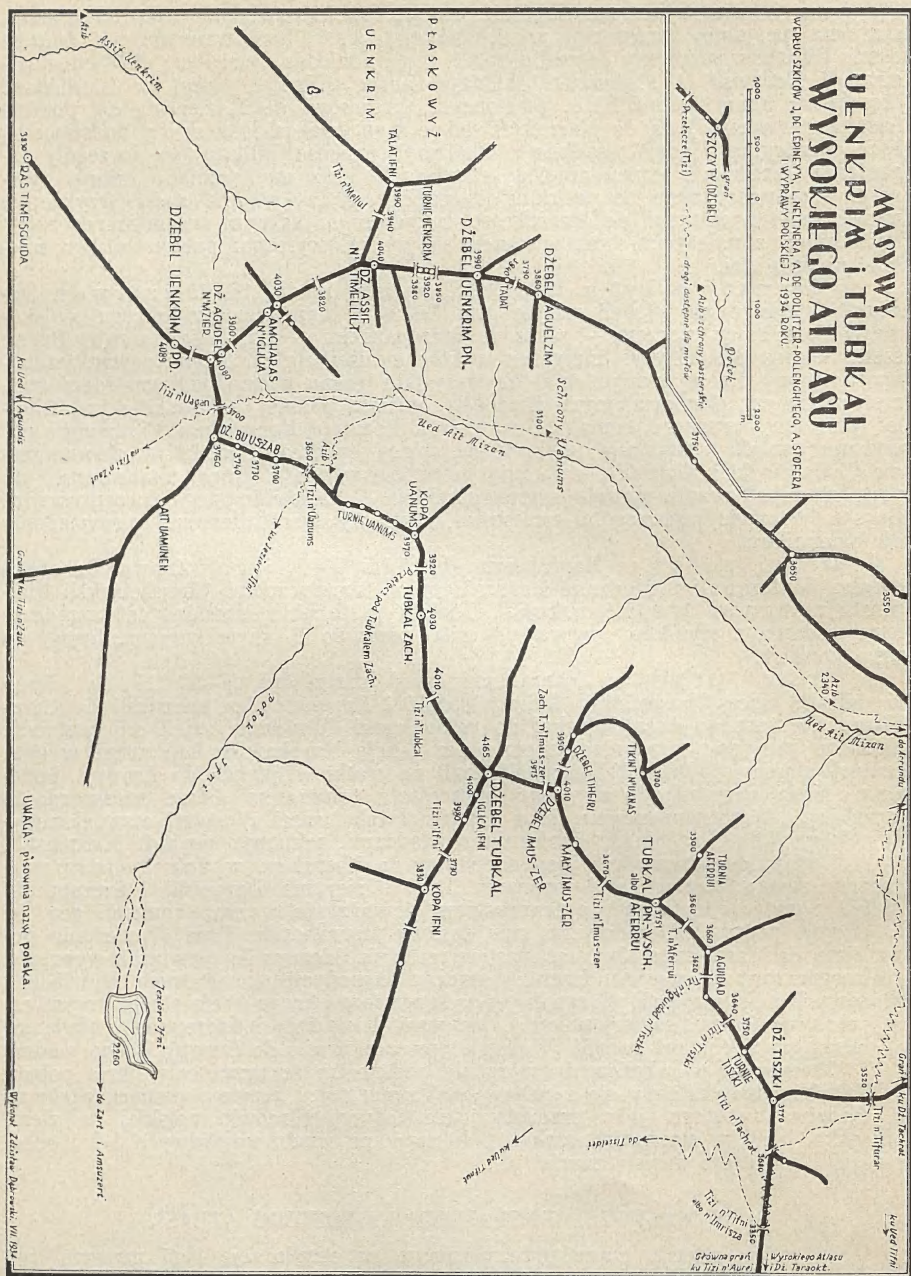
Trzeci pobyt w Marrakeszu trwał przez dni 25—29 lipca. Rano w dniu 26 lipca Chwaściński, Golecz, Gronski i Korosadowicz powrócili do Casablanca. Następnego dnia dojechał do nich Gorski. Wspólnie wzięli oni następnie udział w przyjęciu, zorganizowanym przez Sekcję Marokańską CAF, oraz w konferencji prasowej. Dnia 29 lipca odjechali na statku «Djenné» do Europy. Pozostała grupa uczestników wyprawy opracowała tymczasem dalsze sprawozdania urzędowe i korespondencyjne, oraz zorganizowała trzeci i ostatni etap ekspedycji (Dorawski i Szczepański konferują z władzami, zakupuje żywność Kiełpiński).

Z etapu tego powrócili jego uczestnicy do Marrakesz w dniu 8 sierpnia, poczem nastąpił epilog całej wyprawy. Dnia 9 sierpnia Dorawski i Szczepański złożyli wizytę pożegnalną we francuskim dowództwie, u zast. komend. gen. de la Baume, poczem zlikwidowano inne sprawy marokańskie. Dnia 10 sierpnia powrócono do Casablanca. Już zaś następnego dnia kierownik rozwiązał wyprawę, po zorganizowaniu wysyłki frachtem bagażu ekspedycji, po ostatnich wywiadach prasowych i po wizytach pożegnalnych u kontrolera okręgu, szefa służby turystycznej oraz wśród miejscowej polonji. Dorawski, Kiełpiński i Szczepański udają się w dalszą, prywatną już podróż. Wojsznis powraca prosto do Europy, drogą wodną.

Chcemy tu w zakończeniu wyraźnie podkreślić, że przez cały okres pobytu w Marokku spotykaliśmy się z nadzwyczaj uprzejmą i uczynną pomocą zarówno p. Radziwanowskiego, jako przedstawiciela jedynej placówki polskiej na ziemi Marokka, jak i ze strony francuskiej, i to zarówno władz wojskowych jak i organizacyj i placówek turystycznych.

3. W MASYWIE CENTRALNYM WYSOKIEGO ATLASU.

W całym okresie czasu, przeznaczonym na eksplorację tego masywu, typ działań wysokogórskich był bardziej alpinistyczny i sportowy, niż odkrywczy. Organizacja karawany — dokonana telefonicznie zamówieniem Syndykatu Inicjatywy z Marrakesz — była jeszcze dość prymitywna, przez cały okres towarzyszyło alpinistom tylko trzech mulników z mulami, Ibrahim ben Mohammed, Si Aomar ben Ali i Lhasen ben Abd er Hmen, wszyscy z Arrund, za wynagrodzeniem dziennem po 17.50 franków marokańskich (*al pari* z francuskimi). Ibrahim władał językiem francuskim i służył za tłumacza, Lhasen miał najlepszego mulara, a Si Aomar miał kucharzować; niestety wiedza jego na tem polu okazała się żałośnie szczupłą i ograniczała się właściwie do umiejętności zagotowania wody i zmywania naczyń. Si Aomar umiał jednak wymienić nazwy gór, wyrabia się on na rodzaj przewodnika. Wyprawa polska podzieliła się w tym okresie na dwa etapy.



pieszo. Żywność i багаż (8 skrzyń i 8 worków) dźwiga 6 mulów, którymi kieruje sześciu mulników. G. 11.30: schronisko koło wioski Arrund, u wstępu do Dol. Ait Mizan (1860 m). G. 16.30: ekspedycja dociera do azibów²⁾ 2340 m, gdzie zakłada obóz I. Pogoda naogół ciepła i bez opadów, ale góry ogarnięte oblokami³⁾.

17 czerwca. Przez całą dobę trwają bez żadnych przerw silne opady deszczowe i śniegowe. Szereg burz. Temperatura w obozie +3° (w południe) i +5° (wieczorem). Popołudniu idą na wywiady: Kielpiński (w głąb doliny) oraz Wojsznis, który wychodzi na jedno z ramion pn. grani Dżebel Agelzim (do wys. ponad 3000 m).

18 czerwca. Od rana roz pogodzenie się. Ciepło. Podział na grupy szturmowe. w obozie pozostaje chory Golec i opiekujący się nim Dorawski.

Grupa A (Chwaściński, Gorski, Korosadowicz, Piotrowski, Wojsznis) opuszcza, g. 5.30, obóz jadąc na mulach w górę Dol. Ait Mizan. Przy wielkich Azibach Uanums (3100 m) odsyła muly i pieszo wchodzi na Tizi n'Uanums (3650 m). G. 9.25: Piotrowski powraca z przełęczy do obozu. Reszta uczestników wykonuje w poprzek pd. i pd.-wsch. żeber i żlebów Kopy Uanums i Tubkalu Zachodniego długi trawers pod pd. ścianę Tubkalu, osiągając ją w wys. ok. 3500 m. Ścianę przecina pd. żleb, którym, nieco trudno, na pd.-zach. grań w odległości 50 m od wierzchołka i nią — I w. od pd. — na szczyt Dżebel Tubkal (4165 m). G. 17—17.45: pobyt na wierzchołku. Zejście pd.- zach. granią bez żadnych trudności na Tizi n'Tubkal (4010 m), skąd, g. 18, całkiem łatwe zejście po piargu i śniegu do Azibów Uanums, g. 19.30, i do obozu, g. 21.15.

Grupa B (Groński, Kielpiński, Szczepański) opuszcza obóz g. 6.30, odrazu pieszo. G. 11: idąc od strony pn.-zach. na t. zw. Tubkal Północny czyli Dżebel Aferrui osiąga łatwą wspinaczką dziewiczą turnię w dolnej części jego pn.-zach. grani. Kopezyk, biletę. Turnia otrzymuje nazwę: Turnia Aferrui (ok. 3250 m). Zejście na nienazwaną przełęcz ok. 3150 m, dzielącą turnię od właściwej grani Aferrui: dość trudno i częściowo z pomocą liny. G. 16.30: I. w. pn.-zach. granią na wierzchołek Dżebel Aferrui (3751 m; ogółem III. w. na Aferrui). Tempo powolne, brak aklimatyzacji. Całkiem łatwe zejście pn.-wsch., główną, granią na Tizi n' Aferrui (3560 m), z której I. z. ku pn.-zach., do Kotła pod Aferrui. G. 20.30: obóz w azibach 2340 m.

19 czerwca. Dzień odpoczynkowy. Różne prace obozowe. Piotrowski odjeżdża na mule do Asni, skąd autobusem powraca do Marrakesz i wkrótce opuszcza Marokko.

20 czerwca. Działają trzy grupy szturmowe, w obozie zostaje chory na żółtek Kielpiński.

Grupa A (Dorawski, Gorski, Szczepański) atakuje najpierw turnię Tikint n'Uanas jej pn. ścianą (I. prz.). Końcowy uskok Tikint jest trudny. Na wierzchołku (ok. 3700 m) stary kopezyk. G. 13.30: z Tikint granią (I. prz.) na dwuwierzchołkowy Dżebel Tiheiri (3950 m); jego b. trudny uskok pn. grani (na wys. 3730 m) Szczepański obchodzi po zach. stronie. G. 15.30: wejście rozplaszczającym się grzbietem na Dżebel Imus-zer (4010 m). Powrót do obozu w Dol. Ait Mizan: z Imus-zerą jego zach. grzbietem na Tizi n'Tiheiri i z niej ku pn. (I. z.) do Kotła pod Imus-zerem.



Fot. J. K. Dorawski

Turnia Aferrui

²⁾ Por. «Taternika», XVIII, 123. Zarówno na tem miejscu jak i w całej lekturze konieczna jest znajomość ogólnych uwag w «Taterniku», XVIII, 121—128, zawartych, do których tu już nie powracamy.

³⁾ Wysoki Atlas ma w porze letniej z reguły suchą i słoneczną pogodę. Dlatego podajemy w dalszym ciągu wzmianki o pogodzie i jej charakterystykę tylko wówczas, gdy odbiegała od owej normy.

Grupa B (Chwaściński, Wojsznis) przechodzi, g. 8.20—11.20, pn.-zach. grań (I. prz.; droga nieco trudna) Zach. Turni Tiszki (3750 m), skąd całkiem łatwo wchodzi na Dżebel Tiszki (3770 m) i przez jej pn. grań schodzi na Tizi n'Tifuraz (3520 m), skąd drogą mułową powraca do obozu.

Grupa C (Golecz, Groński, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 6 i dokonywa I. prz. pn.-zach. grani Aguidad n'Tiszki (3660 m), po drodze wchodząc na dość wyodrębniającą się turnię 3460 m (50 m wzgl. wys.). Turnia: g. 10.30, szczyt: g. 13. Droga jest długa i częściowo dość trudna; ogółem II. w. na Aguidad. Z niego zejście pn.-wsch. granią na Tizi n'Tiszki (3640 m), a z niej ku pn.-zach. (I. z.) do obozu.

21 czerwca. Zachmurzenie znaczne i przejściowy deszcz. Zwinięcie obozu I. i przemarsz wczesnym popołudniem w górę doliny do Schronów Uanums (3070 m), gdzie rozbić obozu II.

22 czerwca. Zachmurzenie koło południa znaczne i przejściowe deszcze. Podział na cztery grupy szturmowe.

Grupa A (Golecz, Groński) zdobywa trudną pn.-zach. ścianę bocznej zach. grani Tubkalu (I. prz.). Wymarsz g. 7.40, wejście w ścianę na wys. 3680 m, grań w wys. 3970 m, wierzchołek Dżebel Tubkal g. 13. G. 15: zejście zupełnie łatwą pd.-zach. granią na Tubkal Zachodni (4030 m) i na Kopę Uanums (3970 m) skąd łatwe zejście, g. 17.30, wprost ku pn. do Kotła pod Tubkałem i do obozu.

Grupa B (Gorski, Kielpiński, Korosadowicz) odchodzi z obozu o g. 7 i w g. 8.45—15.15 dokonywa II. w. pn.-wsch. granią na Assif n'Timellilt (4040 m; ogółem III. w.): droga jest długa i częściowo trudna, grań złożona z kilku turni, z których najtrudniejsza jest turnia 3760 m. Grań nie kulminuje w wierzchołku lecz w grani głównej na pn. odc. Zejście ze szczytu wprost ku zach. G. 17.30: Korosadowicz powraca do obozu, g. 18.15 powracają Gorski i Kielpiński.

Grupa C (Chwaściński, Wojsznis): odmarsz g. 7, Tizi n'Uanums g. 9.30, poczem ok. 600 m w dół na stronę Dol. Ifni i — w g. 11.30—14.30 — I. w. wsch. ścianą na Dżebel bu Uszabu (ogółem II. w. na ów szczyt). Droga jest naogół b. łatwa, ma jednak kilka miejsc dość trudnych; osiąga grań szczytową bu Uszabu w siodle pomiędzy głównym (3760 m) a pd. ze środkowych (3740 m) wierzchołków. Łatwą zach. granią na Tizi n'Uagan (3700 m) i zejście na pn. do obozu.

Grupa D (Dorawski, Szczepański) odchodzi z obozu — spowodu choroby Szczepańskiego — dopiero o g. 10 i o g. 14 osiąga nową, nieco trudną drogą od wsch., Dżebel Agelzim (3860 m; ogółem III. w.). Łatwe zejście ku pn.-zach., również nową drogą, wprost do obozu, g. 16.

23 czerwca. Odpoczynek.

24 czerwca. Trzy grupy szturmowe, w obozie pozostaje Wojsznis, cierpiący na ropień w lewej stopie.

Grupa A (Chwaściński, Golecz, Gorski): wymarsz g. 7.30, Tizi n'Uagan g. 10.15. Bez żadnych trudności wsch. granią (g. 11.20) na Dżebel Agudel n'Mzier (4080 m; ogółem V. w.) i pn. granią, g. 12, na Uenkrim Południowy (4089 m; ogółem V. w.). Stąd dość trudno na Tizi n'Agudel n'Mzier (ok. 3900 m; g. 14) i I. ściśle wejście b. trudną i efektywną, z 3-ch turni zbudowaną pd.-wsch. granią dwuwierzchołkowego Amcharas n'Igliua (4030 m; g. 17.45 pd. wierzchołek i g. 18.45 pn. główny wierzchołek, ogółem V. w.). Jeszcze b. łatwe zejście jego pn. granią na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m; g. 19.30), skąd I. z. wprost w Dol Ait Mizan. G. 21.45: powrót do obozu.

Grupa B (Dorawski, Kielpiński, Szczepański) idzie na Tizi n'Uanums (3650 m), przyczem worki (które zostają zresztą na przełęcz) wynosi im muł. Skolei Dorawski i Kielpiński dokonują, w g. 10—16, I. całkowitego przejścia grani czterech Turni Uanums (z których dwie środkowe były jeszcze dziewicze; droga b. eksponowana i częściowo trudna) — zaś Szczepański, który czuł się źle, obszedł grań dołem po wsch. stronie (częściowo nową drogą) i połączył się z towarzyszymi dopiero na Kopie Uanums (3970 m). Godz. 18: długa, lecz pozbawiona wszelkich trudności droga od zach., omijając wierzchołek Tubkalu Zachodniego, osiągają wszyscy trzej Dżebel Tubkal 4165 m). Powrót do obozu, g. 20.30, zwyciężając drogą przez Tizi n'Tubkal.

Grupa C (Groński, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 7, poczem Korosadowicz samotnie wchodzi (I. prz.) częściowo trudną pn.-wsch. grzędą, g. 10.30, na Uenkrim Północny (3990 m; ogółem III. w.), a wspólnie z towarzyszem na turnię Tadat (3840 m) jej dość trudną pd. granią (I. prz.; g. 11.30). Stąd ponowne wejście na Uenkrim Północny i dalej zejście jego interesująca pd. granią na przełęcz 3850 m tuż na pn. od grupy Turni Uenkrim, z niej, g. 17, b. łatwe zejście do obozu.

25 czerwca. Dzień odpoczynkowy. Kielpiński idzie na Tizi n'Uanums po pozostawione na niej worki.

26 czerwca. Trzy grupy szturmowe, w obozie zostają jako chorzy: Chwaściński, Szczepański i Wojsznis.

Grupa A (Dorawski, Golcz, Korosadowicz) dokonuje I. w. na Amcharas n'Igliua (4030 m) jego piękną, pn.-wsch. ścianą (VI. w. na Amcharas). Droga jest b. trudna, rozwiązująca najtrudniejszy problem w otoczeniu Ait Mizan. Stąd b. łatwe zejście na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m), gdzie do grupy przyłącza się Groński. Wspólne nieco trudne I. w. pd.-wsch. granią na Assif n'Timellilt (4040 m; ogółem VI w.), skąd z przelączki między jego wierzchołkami zejście wprost do Dol. Ait Mizan (I. z.).

Grupa B (Groński, Kiełpiński) wyrusza g. 7 i przez Tizi n'Agudel n'Mzier (3900 m) przedostaje się (II. w. a I. prz.) na stronę Dol. Uenkrim skąd, g. 11.30, przechodzi (I. w.) dość trudną (z jednym b. trudnym miejscem) pd.-zach. grań Amcharas n'Igliua (4030 m; ogółem VII. w.). Zejście pn. granią na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m), gdzie Groński przyłącza się do grupy A, a Kiełpiński schodzi, g. 12.30, wprost do obozu.

Grupę C tworzy samotnie Gorski, który przez Tizi n'Uanums przechodzi na pd. stronę Tubkalu Zachodniego i stąd wchodzi na jego wierzchołek (4030 m). Powrót do obozu przez Tizi n'Tubkal.

27 czerwca. Zwinięcie obozu II. i marsz w dół Dol. Ait Mizan aż do Arrund (1860 m). W tym samym czasie (g. 6–14) Gorski wchodzi od wsch. na pn. grań Dżebel Algelmiz i przechodzi stąd grzbiety leżących ku pn. wierzchów 3650 m, 3500 m i i., schodząc wprost do Kotliny Arrund. Popołudniu dalszy przemarsz wyprawy przez wieś Imula i Tizi n'Tamatert (2308 m) znakomitą drogą mulową w Dol. Imminen, gdzie w azibach ok. 2300 m następuje rozbiecie obozu III.

B) W Ait Imminen (gniazda Likumtu i Inchemara)

28 czerwca. Dzień odpoczynkowy.

29 czerwca. Podział na trzy grupy, mające działać dwa dni. W obozie pozostaje wciąż unieruchomiony Wojsznis.

Grupa A (Chwaściński, Dorawski, Golcz, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 6.30 i w g. 15–18.40 pokonywa (I. prz.) b. trudną i nadzwyczaj eksponowaną pn. ścianę Dżebel Likumt 3910 m; ogółem VI. w. na Likumt), poczem schodzi na biwak skalny na wys. 3420 m na zach. od pn. żlebu z Przełęczy Bez Nazwy (g. 20).

Grupa B (Gorski, Groński) odchodzi z obozu o g. 7. Dobrą drogą mulową na Tizi n'Taszdirt (3200 m), skąd o g. 11 odejście pod pn. ścianę Inchemara Środkowego (3885 m). I. pokonanie tej dość trudnej ściany w g. 13–16.30. Stąd dalej granią, g. 17.15, na najwyższy Inchemar Wschodni (3895 m; ogółem VI. w.) poczem przejście granią trzech wierzchołków Inchemara na Tizi n'Inchemar (3670 m), gdzie o g. 19 biwak.

Grupa C (Kiełpiński, Szczepański) wspólnie z grupą B wydostaje się, g. 9.45, na Tizi n'Taszdirt, poczem dokonywa I. prz. długiej i na swoim dolnym uskoku b. trudnej pn. grani Inchemara Zachodniego (3881 m). Przez P 3721 m i jego grań pn. powrót na płaskowyż tuż pod Tizi n'Taszdirt, gdzie biwak, g. 19.30.

30 czerwca. Przez Tizi n'Taszdirt powracają Kiełpiński i Szczepański już o g. 10 do obozu. W południe odjeżdża stąd Wojsznis na mule do Asni. Chwaściński, Dorawski, Golcz i Korosadowicz opuszczają miejsce biwaku o g. 8.30 i w g. 11–12.30 dokonują I. w. wprost od pn. na Dżebel Aksual (3860 m; droga łatwa, ogółem IV. w. na Aksual). Zejście jego pn. granią na Przełęcz Wielkiego Potoku (3619 m; g. 13.30), przyczem Chwaściński, Golcz i Korosadowicz wchodzi jeszcze zwyczajną drogą na Szczyt Wielkiego Potoku (3678 m). Powrót do obozu, g. 14.45.

Najpóźniej, gdyż dopiero o g. 15.45, wracają do obozu Gorski i Groński. Wyruszysz z miejsca biwaku o g. 5 trawersują oni pn. i pd. granią Dżebel Taszdirt (3791 m) oraz pn. i zach. granią Dżebel Igenuan (3875 m) poczem, g. 6.45, dokonują całkowitego prz. czterech Turni Igenuan, przyczem po raz pierwszy pokonany zostaje dogóry b. trudny, 40 m wvsoki, wsch. uskok turni 3710 m, nazwanej Donicą (*Pot de fleurs*). O g. 12.45 dotarcie do Tizi n'Likumt (3550 m), skąd już zejście wprost ku pn., w dolinę.

1 lipca. Zwinięcie obozu i odmarsz, g. 9, wdół Dol. Imminen przez szereg wsi i osiedli jak to: Tamkwist, Ikis, Ait Ali, Ansekru, Areg, Imesker, Tamsrart i i. Nader wyczerpujący i długi marsz pieszy. G. 15: Asni. G. 16.15–17: sprowadzony telefonicznie autobus odwozi ekspedycję do Marrakesz.

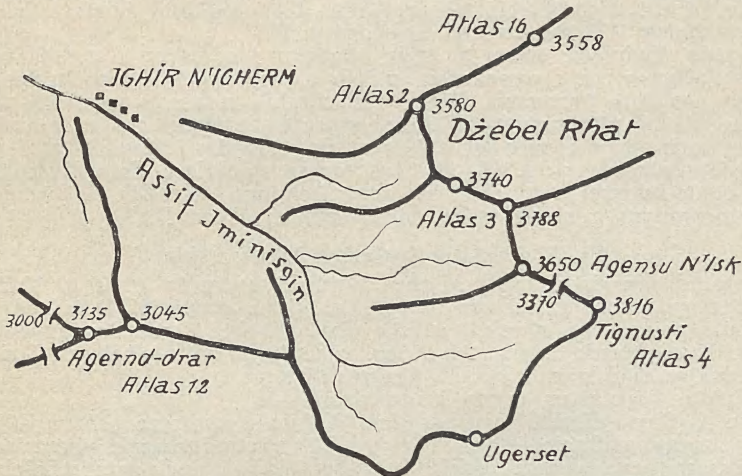
przesunął się nacisk działań wyprawy na moment odkrywczy i eksploracyjny. O ile bowiem Masyw Centralny był już topograficznie dobrze poznany, dysponował szkicem terenu 1:40.000 i odbyto w nim już nawet pewną ilość wejść alpinistycznych — o tyle Masyw Wschodni uchował się jako góry b. mało jeszcze znane, których przedstawienie na mapie wykazywało rażące i zasadnicze błędy (np. gniazdo M'Gunu) lub wogóle jeszcze nie było opracowane (gniazdo Ait Attik).

W całym tym masywie działalność wyprawy rozpadła się na trzy etapy, związane jednak wspólną organizacją karawany i eskorty wojskowej. Do tych terenów — spacyfikowanych dopiero w 1932 r. i ciągle jeszcze niespokojnych — niesposób było wyruszyć bez eskorty, złożonej z żołnierzy tubylczych, mogących służyć zarazem jako pośrednicy w porozumiewaniu się z ludnością. Eskortę tę tworzyli dwaj żołnierze (mohrazni), Mohammed ben Said i jego towarzyszy, pod komendą podoficera, brygadiera (plutonowego) Thami. Wszyscy władali zgrubą językiem francuskim, i pełnili swe funkcje ku ogólnemu zadowoleniu.

Wśród ogromnych przestrzeni Masywu Wschodniego nie było również mowy o marszach pieszych, wszędzie tam gdzie mogły dotrzeć i przejść muły. Za muła płaciło się tu zresztą tylko 10 fr. Wyprawa dysponowała przez cały czas 9-ma mulami pod wierzch i 6-ma mulami jucznymi. Początkowy bagaż ważył 450 kg, zapakowany w 14 skrzynek i 9 worów. Mułników było stale piętnastu¹⁾. Poza tem do składu karawany należał jeszcze żołnierz Mohammed ben Ali, pełniący z doświadczeniem i fachowością funkcje kucharza. Ogółem zatem liczyła karawana 28 osób.

A) W Iminisgin (gniazdo Rhat)

5 lipca. Rano podróż specjalnie wynajętym autobusem z Marrakesz do Demnat, 117 km. W *Bureau des affaires indigènes* w Demnat — na telefoniczne polecenie z komendy w Marrakesz — organizuje karawanę i zestawia eskortę akem (starosta) por. Gauthier. Karawana jest gotowa dopiero wieczorem, dlatego wyprawa pozostaje na noc w Demnat. Wykwintna kolacja u państwa Gauthier.



Gniazdo Rhat Wysokiego Atlasu. Podziałka 1:200.000

Wdg. mapy *Maroc au 200.000*, arkusz: Telouet-Est.

6 lipca. G. 7:30: odjazd karawany z biura w Demnat. G. 10: odjazd z miasta Demnat. W długim, 9-ciogodzinnym marszu przez szereg drugorzędnych grzbieców przejście w Dol. Assif n'Ait Ufiad (krótki postój we wsi Imaun n'Igeluan) poczem w głąb Dol. Iminisgin, gdzie w stóp kazby koło wsi Ighir n'Igherm rozbiecie obozu I, na wys. ok. 1940 m. Wieczorem uczta w kazbie.

7 lipca. Dzień odpoczynkowy. Przyjęcie w obozie dla sziura wsi.

¹⁾ Jako ciekawostkę notujemy ich nazwiska: Abdelmelk ben Hemmu, Abdul-lah ben Mohammed, Aheddu ben Ahmed, Aheddu ben Lhasen, Ahmed ben Lhasen, Ahmed ben Mohammed, Ahmed ben Ulait, Ali ben Lhasen, Ali ben Nasr, Hussein ben Lhasen, Ibrahim ben Si-Mohammed, Mohammed ben Ahmed, Mohammed ben Ibrahim, Nasr ben Ali i Said ben Ahmed.

8 lipca. Podział na dwie grupy szturmowe, w obozie zostaje Golcz, który potłukł się przy upadku z mula.

Grupa A (Dorawski, Gorski, Kielpiński, Korosadowicz, Szczepański) o g. 6.30 odjeżdża z obozu w głąb doliny i podjeżdża na mulach do wys. ok. 2900 m, skąd dokonywa l. w. od pd.-zach. na nieoznaczony na mapie wierzchołek ok. 3740 m w grani szczytowej Dżebel Rhat. Tu Szczepański zatrzymuje się, zaś pozostali



Fot. J. Wojsznis

Dżebel Rhat.

przechodzą, g. 13.30, na najwyższy wierzchołek Rhatu, Atlas 3 (3788 m). Grzbiet oznaczony jest kopczykami, ale na szczycie nie ma śladów bytności człowieka. Powrót do mulów spod Atlasu 2 (3580 m), obóz o g. 20.

Grupa B (Chwaściński, Gronski, Wojsznis) jedzie wspólnie z poprzednią do wys. ok. 2900 m, poczem wchodzi na grań na pd. od Dżebel Rhat i nią na wierzchołek Agenssu n'Isk (3650 m), skąd zejście na przełęcz 3370 m i wejście na Dżebel Tignusti (Atlas 4, 3816 m). Powrót do obozu g. 21.15.

9 lipca. Większość ekipy odpoczywa, wyruszają tylko, g. 7.15, Golcz i Korosadowicz. Na mulach do wys. ok. 2400 m, poczem wejście od pn.-wsch. w 1^{1/2}

godz. na wsch. grań Dżebel Agernddrar, w wys. 3000 m. Przejście grani tego szczytu (wsch. wierzchołek 3045 m [Atlas 12], środkowy wierzchołek 3100 m i zach. wierzchołek 3135 m), powrót do obozu g. 18.

10 lipca. Zwinięcie obozu w Ighir n'Igherm i odmarsz o g. 6.40 wśród wichru wznoszącego wraz z wysokością, utrudniającego pochód i na grzbietach gór osiągniętego nasilenie huraganu. Przez Tizi n'Ighili marsz wprost ku pd. przez nieoznaczone na mapie grzbiety i dwie wysokie przełęcze na zach. od Dżebel Agernddrar (najwyższy z nich ok. 3000 m) do Dol. Assif Tasselli gdzie we wsi Tasselli postój południowy, g. 11-14. Stąd marsz wdół Dol. Tasselli do Dol. Tassaut i nią aż do bocznej Dol. Ait Attik, gdzie koło wsi Ait Attik, w terenie jeszcze nieskartografowanym, rozbitcie na wys. ok. 2000 m obozu II.

B) W Ait Attik (gniazdo Adrar n'Ikis)

11 lipca. Wywiady topograficzne. Gronski opuszcza obóz g. 10.55 i o g. 14.30 wchodzi pn.-zach. grzbietem na główną grań grupy w Dżebel Audżu (ok. 3100 m); powrót do obozu g. 17.30. Chwaściński, Korosadowicz i Wojsznis zwiedzają niższe gniazdo Dżebel Ait Attik, wjeżdżając na mulach na Tizi n'Agersuel i zwiedzając stąd pieszo Dżebel Azelm (2700 m).

12 lipca. Podział na cztery grupy działające.

Grupa A (Chwaściński, Korosadowicz, Wojsznis) opuszcza obóz g. 7.30 i dokonywa trawersowania długiej grani Dżebel Tisziamin: zach. wierzchołek 3375 m (g. 13.15), środkowy wierzchołek 3420 m (g. 13.45) i wsch. wierzchołek 3350 m (g. 14.15). Powrót do obozu g. 19.30.

Grupę B tworzy Gronski, który wspólnie z grupą A jedzie pod Tisziamin, poczem (g. 9.30) idzie sam na Dżebel Tazerzemt (3283 m, g. 13.15), skąd schodzi na przełęcz ok. 3200 m pod Tisziamin i o g. 16.30 wraca do obozu.

Grupa C (Dorawski, Golcz, Szczepański) odjeżdża z obozu g. 7, poczem idzie przez Dol. Assif Tsamert na Tizi Tsamert n'Dzur, skąd dokonywa przejścia wsch. i zach. grani Dżebel Tassilio (Massif Ouest, 2970 m) i wchodzi na Dżebel Inurcha (3070 m). Stąd Golcz i Szczepański zwiedzają jeszcze Dżebel Tadumelt (3000 m), powrót do obozu przez wąwóz Assif Tadumelt, g. 15.30.

Grupa D (Gorski, Kielpiński) jedzie (g. 7.15) do bocznej dolinki pomiędzy Ait Attik a Tifszt, skąd Gorski zwiedza (g. 14) Dżebel Tifszt (ok. 3100 m) i powraca do obozu g. 18, a Kielpiński wchodzi od pn.-zach. na zach. wierzchołek Dżebel Tisziamin (3350 m), poczem zatrzymuje się, g. 20.30, na biwak w dolince pomiędzy Ait Attik i Tifszt, gdzie go jednak odnajdują wysłani przez brygadiera Thami na poszukiwanie «zaginionego» mieszkańcy Ait Attik i o g. 24 sprowadzają do obozu.



Fot. J. K. Dorawski

HALA IKIS, W GŁĘBI PASMO AMSODU



Fot. J. K. Dorawski

DŻEBEL MAARAL

C) W Ait Arus (gniazdo Ichil M'Gun)

16 lipca. Dzień odpoczynkowy. Podział na cztery grupy mające działać w dniach następnych, przyczem spośród nich Golcz i Gorski wyruszają o g. 14, docierają na mulach do wys. ok. 2800 m, poczem wchodzą na grań Dżebel Khalifat i na niej zatrzymują się, g. 19.30, na biwak w wys. ok. 3260 m.

17 lipca. Grupa A (Golcz, Gorski) opuszcza miejsce biwaku g. 7 w kierunku zwornika 3980 m na zach. od Amsodu. G. 9: wejście na zwornik, poza którym grań opada uskokiem. Odwrot, zejście 500 m ku zach. (g. 11) i wejście na M'Gun 2 (3980 m), poczem marsz dalej ku zach. przez Tizi Gugult (3640 m) na zbudowany z trzech wierzchołków M'Gun 1 (3920 m). G. 18.30: odejście z M'Gunu 1 spowrotem na M'Gun 2, gdzie biwak w wys. ok. 4000 m (g. 19.30).

Grupa B (Dorawski, Kiepiński, Szczepański) jedzie na mulach przez Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) na Tizi Ochri (3420 m). Stąd I. w. wsch. granią (łatwa wspinaczka) na dwuwierzchołkowy Dżebel Ochri (ok. 3600 m) i I. w. nieco trudną granią na oba wierzchołki Dżebel Maaral (ok. 3750 m). Następuje zejście ku wsch. na Wielką Halę (2980 m) i powrót przez górną część Dol. Arus, potem obchodząc po str. zach. wielki kenjon do obozu (g. 23.30).

Grupa C (Chwaściński, Wojsznis) opuszcza obóz g. 6.30 i wydostaje się na Tizi Tanaut (3140 m), skąd Wojsznis wchodzi sam (g. 12.30) na Dżebel Khalifat (3320 m). Zejście w Dol. Assif M'Gun na wys. ok. 2800 m, gdzie postój g. 13—14.15. Stąd wejście na Dżebel Tarkedit (4010 m), gdzie g. 20.15 biwak.

Grupa D (Groński, Korosadowicz) jedzie na mulach na Tizi Tanaut (3140 m), skąd Korosadowicz wchodzi jeszcze na grań Dżebel Khalifat. Groński nie czuje się w formie, obaj już w południe wracają do obozu.

18 lipca. Golcz i Gorski wyruszają z miejsca biwaku g. 7. Idąc główną granią Ichil M'Gunu o g. 7.45 wchodzą na M'Gun 3 (4010 m), o g. 9.10 na Dżebel Amsod (4070 m), o g. 9.50 na M'Gun 4 (3980 m) i o g. 10.30 na M'Gun 5 (3950 m). Następuje tu spotkanie z grupą Chwaściński-Wojsznis, która odeszła z biwaku o g. 9.25 i przyszła na M'Gun 5 od pn.-wsch. Grupa Golcz-Gorski idzie teraz na Dżebel Tarkedit (4010 m), poczem zwraca na przełęcz 3850 m pomiędzy Tarkedit a M'Gun 5 i schodzi z niej ku pn. (g. 13). Następuje jeszcze, w g. 16—18, wejście na Dżebel Khalifat (3320 m) i powrót przez Tizi Tanaut (3140 m) do obozu (g. 22.30). Podezas tego Chwaściński i Wojsznis idą na M'Gun 4 (3980 m) i o g. 12.50 osiągają szczyt Amsodu (4070 m). Stąd zejście już wprost ku pn.-zach. do Dol. Arus, której kenjony zatrzymują powrót i zmuszają do jeszcze jednego biwaku w wys. ok. 2800 m.

19 lipca. Chwaściński i Wojsznis o g. 5 opuszczają miejsce biwaku i o g. 8.15 docierają do obozu. Wszyscy pozostali uczestnicy wyprawy zwiedzają w godzinach południowych główny kenjon Assif Arus. Popołudniu krótka burza i przeletny deszcz.

20 lipca. Działają cztery grupy, jako chorzy zostają w obozie Chwaściński, Dorawski i Szczepański.

Grupa A (Golcz, Gorski) o g. 7.30 opuszcza obóz i o g. 11.30 przejeżdża na mulach przez Tizi Ochri (3420 m) na Wielką Halę (2980 m). Stąd (g. 14) wyjeżdża na Tizi Gugult (3640 m), skąd przechodzi wielkim trawersem po pd. stronie masywu na przełęcz 3620 m i wchodzi na Dżebel Tazegzault (3890 m). Powrót na przełęcz i zejście ku pn.-zach. do kenjonu poniżej źródeł Assif Tessaut. Tu biwak na wys. ok. 3200 m.

Grupa B (Kiepiński, Korosadowicz) przez Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) przechodzi na Dżebel Tazirt (ok. 3160 m), poczem zwiedza pd. granią Dżebel Tafanfan (ok. 3060 m).

Wspólnie z grupą B wchodzi na Dżebel Tafanfan (ok. 3060 m) granią od Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) Groński, cały czas idący pieszo. Schodzi on następnie wprost do obozu przez długą pn. grań tego wierchu.

Osobno wreszcie opuszcza obóz o g. 7 Wojsznis, udający się wraz z jednym żołnierzem i dwoma mulami przez Tizi Tanaut (3140 m) w Dolinę Assif Ifulen do Jaskiń Troglodytów. Zwiedza je w południe i biwakuje wśród nich, odesławszy wcześniej żołnierza i jednego mułnika.

21 lipca. Golcz i Gorski opuszczają miejsce biwaku o g. 8, wracają na Wielką Halę (ok. 2800 m), skąd przejeżdżają przez Tizi Ochri (3420 m; g. 11.30) i Tizi Tafanfan (ok. 2800 m), stając w obozie g. 17.

Wojsznis odjeżdża z miejsca biwaku, g. 5.45, na nieoznaczoną przełęcz z percią mułową w zach. części grani Dżebel Tiferdin. Stąd pieszo o g. 8.10 wchodzi na sąsiadujący z przełęczą wyodrębniający się wierch. G. 8.50: zejście na Tizi

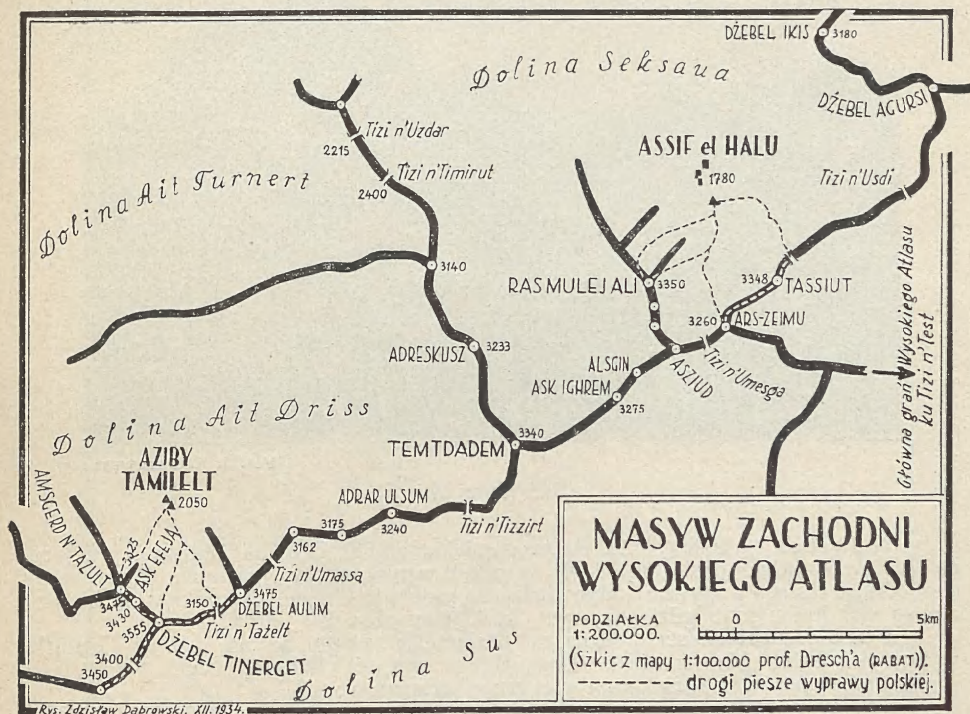
n'Ait Ami (2910 m), skąd trawersując ścieżką mułową grzbiety Taurirt schodzi w Dol. Ait bu Guemmez i z niej powraca do obozu o g. 12.30.

Popołudniu tegoż dnia przybywa do Ait Arus por. Gauthier. Wieczorem przyjęcie wydane przez sziura i tańce ludności tubylczej przy świetle ognisk.

22 lipca. Jeszcze pobyt w Ait Arus, w związku ze spotkaniem z por. Gauthier. Przyjęcie jego oraz jego tow. por. Plateau przez wyprawę.

23 lipca. Zwiniecie obozu IV. i o g. 7 odmarsz w drogę powrotną. Z Doliny Assif Arus przez Dolinę Ait Refeja w Dolinę Assif Rhat, skąd przez Igherm n'Umellul, Tizi n'Tilrist, Tirsal i Igherm n'u Ferdu do wsi Ait Tutlin, gdzie wieczorem rozpięto obóz V., na wys. ok. 1900 m.

24 lipca. Zwiniecie obozu V. i odmarsz już o g. 5.45. Przez Dol. Assif n'Gzel na Tizi n'Taliuin (2030 m), skąd szybki przemarsz karawany do Demnat przez szereg coraz niższych grzbietów i siodeł. Po drodze zwiedzenie kenjonu Imi n'Ifri. W Demnat g. 12.30. W g. 14—19 przejazd autobusem (przypadkowa okazja) do Marrakesz.



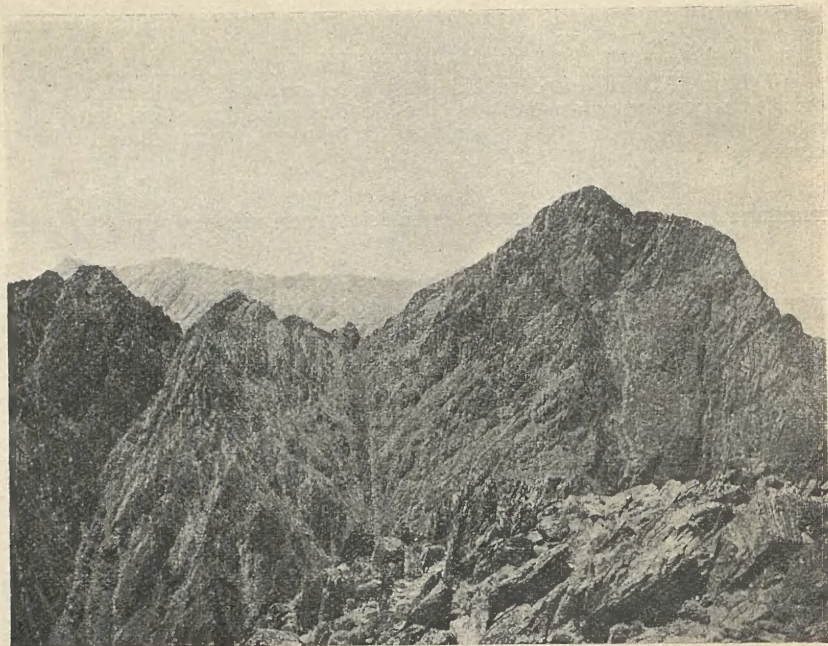
5. W MASYWIE ZACHODNIM WYSOKIEGO ATLASU.

Góry te zwiedzało tylko czterech uczestników wyprawy, z natury rzeczy musiało zatem wypaść tu już mniej zdobyczy, aczkolwiek powodzenie sprzyjało ekspedycji do samego końca. Wbrew przypuszczeniom — najniższy pod względem wysokości Masyw Zachodni okazał się jednak najciekawszy krajobrazowo, i pod względem alpinistycznym równie ciekawy jak Masyw Centralny (mając nad nim tę wyższość, że dotychczas poznany był tylko turystycznie). W tej ostatniej, części wyprawy wróciły zatem do głosu momenty sportowe. Poza tem jednak organizacja karawany przypominała ona ekspedycję w M'Gun, posługiwano się bowiem w tej samej mierze mułami. Eskorta nie była tutaj potrzebna, wyprawa miała jednak tłumacza, wysłużonego sierżanta z wojska francuskiego imieniem Belaid ben Ali¹⁾. Całość działania w Masywie Zachodnim rozpadła się na dwa etapy.

¹⁾ Mulników było sześciu. Nazywali się oni: Ahmed ben Mobarek, Ali ben Ahmed, Si Hemmu ben Mulid, Hussein ben Ahmed, Mohammed ben Bihi, Mohammed ben Hemmu.

A) W Ait Driss (gniazda Tinergetu i Aulimu)

30 lipca. O g. 4 autobusem z Marrakeszu przez Sziszaua do Imi n'Tanut, gdzie (g. 8—9) Dorawski i Kielpiński składają wizytę mjr. d'Hauteville, dowódcy okręgu. Dalszy przejazd autem do Nzala Argana (g. 11.30, 197 km od Marrakeszu), gdzie oczekują mulnicy z mulami. Wyprawę podejmuje kolacja i udziela noclegu p. J. Martinez, zastępca szefa okręgu. Upał osiąga 48° C w cieniu.



Fot. J. K. Dorawski

Ras Mulej Ali

31 lipca. Wyjazd g. 4.15. Przez pagórkowatą okolicę Ida Mahmud przejazd do wsi Azer, gdzie postój (g. 8—9) w oczekiwaniu mulów juczych. Tu donajęcie jednego osła (w braku odpowiednich mulów). Późnem popołudniem dotarcie do wsi Imi n'gun, gdzie na wys. ok. 1330 m obóz I.

1 sierpnia. Dalsza podróż na mulach ku górom aż do Azibów Tamilelt w Dol. Ait Driss, gdzie rozbitcie obozu II., w wys. ok. 2050 m.

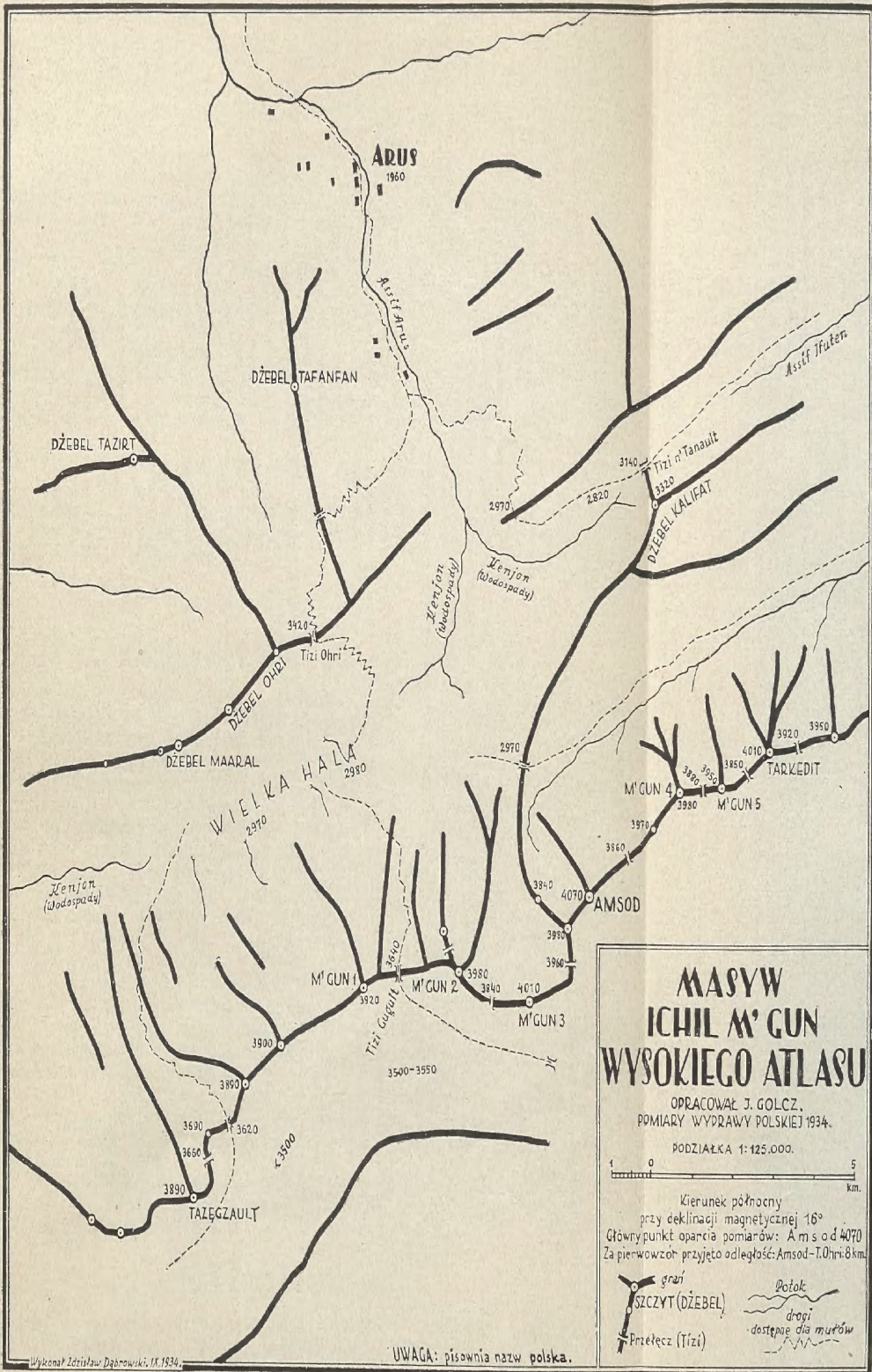
2 sierpnia. Podział na dwie grupy szturmowe.

Grupa A (Dorawski, Wojsznis) opuszcza obóz o g. 5.20 i dojeżdża na mulach do wys. ok. 2300 m. Następuje I. prz. ok. 560 m wysokiej, b. eksponowanej, trudnej i pięknej pn. ściany Dżebel Tinerget (3555 m; ogółem III. w.). Pn.-wsch. granią łatwo na Tizi Tazelt (3150 m), skąd (g. 14) wejście jeszcze częściowo nową drogą (granią pd.- zach. i stokami pn.) na Dżebel Aulim (3475 m; ogółem IV. w.). Powrót na przełęcz (g. 17) i do obozu (g. 19.30).

Grupa B (Kielpiński, Szczepański) wyrusza z obozu o g. 6.45 i wchodzi od pn. na pn.-zach. grani Tinergetu w garbach Ask Efeja (3325 m). Stąd I. prz. tej grani przez nieznaczne garby Amsgerd n'Tazult (3415 m) i Dżebel Timildutin (3430 m). G. 15.30: dojscie do Dżebel Tinerget. Stąd Kielpiński schodzi odrazu na Tizi n'Tazelt (3150 m) i do Dol. Tamilelt, a Szczepański zwiędza jeszcze nienazwany szczyt ok. 3450 m na pd.-zach. od Tinergetu (g. 15.15), poczem powraca na Tinerget (g. 16.45; V. w. na Tinerget) i dopiero przez Tizi Tazelt schodzi wdół. W dolinie spotkanie obu grup i wspólny powrót do obozu.

3 sierpnia. Dzień odpoczynkowy.

4 sierpnia. Zwinięcie obozu i odmarsz o g. 5. Przejście przez szereg wsi (g. 12—14: postój we wsi Tanut) i Tizi n'Timirut (2400 m) w dorzecze górnej Sek-saua, gdzie koło wsi Afensu na wys. ok. 1850 m rozbitcie obozu III. W ciągu dnia silny wichur (slabe muly stale opóźniają pochód).



B) W Ait Seksaua (gniazda Tassiut i Ras Mulej Ali)

5 sierpnia. O g. 8.20 odmarsz ze wsi Afensu i przejście do Dol. Assif el Halu, gdzie powyżej wsi teje nazwy rozbite obozu IV. na wys. ok. 1840 m.

6 sierpnia. Podział na dwie grupy szturmowe.

Grupa A (Kielpiński, Szczepański) wyrusza g. 6.30 z obozu, poczem w g. 8.30—17.30 dokonywa I. w. na Ras Mulej Ali (3350 m; ogółem III. w.) pn.-wsch. ścianą. Wejście w ścianę znajduje się w wys. 2480 m, stąd trudny i eksponowany teren skalny prowadzi do kotła skalno-trawiastego w wys. 2670 m. Następuje łatwiejsza część ściany aż do wys. 2940 m, w której osiągnięte zostało boczne, urwiste wsch. żebró szczytu. Na żebrze wspinaczka dość trudna. Zejście ku pn.-zach. i biwak na grani (g. 19) w wys. 3080 m. Temperatura w nocy +11° C.

Grupa B (Dorawski, Wojsznis) dokonywa tymczasem I. w. trudną pn.-zach. ścianą na Dżebel Ars-zeimu (3260 m), skąd przechodzi granią na Dżebel Tassiut (3348 m) i z przełęczy położonej odeń na pn.-wsch. schodzi wprost ku pn. (l. z.) i do obozu.

7 sierpnia. Kielpiński i Szczepański opuściwszy miejsce biwaku o g. 6. schodzą bez żadnych trudności na g. 10 do obozu. Następuje jego zwinięcie i w g. 14.30—17.30 przejazd przez szereg wsi i grzbietów do wsi Tasseli nad górną Seksaua, gdzie w wys. 1520 m rozbite obozu V.. ostatniego obozu polskiej wyprawy w Atlasie.

8 sierpnia. Już przed g. 6 zwinięcie obozu i dalszy odjazd z gór. Poranek jest bardzo chłodny i daje wrażenie jakby przedwczesnej jesieni. Przez przełom Ued Seksaua i następnie szereg niżej położonych grzbietów i wsi o g. 17.30 dotarcie do Imi n'Tanut, gdzie zaraz rozwiązanie karawany i odjazd autobusem g. 18.30. G. 21: przybycie do Marrakeszu.

III. BILANS WYPRAWY

1. WYNIKI TURYSTYCZNE I ALPINISTYCZNE.

Wyprawa przebywała ogółem w głębi gór 44 dni, z czego na Masyw Środkowy przypada 16, na Masyw Wschodni 19, a na Masyw Zachodni 9 dni. W tym okresie czasu dokonano w Masywie Środkowym wejścia na 21 szczytów i 16 nazwanych turni (z czego na 2 szczyty trzykrotnie, a na 4 szczyty dwukrotnie), oraz w całości lub częściowo przebyto 15 przełęczy; w Masywie Wschodnim zwiedzono 26 wierzchołków (z czego 6 dwa razy), oraz przebyto 21 przełęczy, w czem 10 niedostępnych dla mułów; na koniec w Masywie Zachodnim poznano 9 szczytów i nazwanych turni (z czego 1 szczyt dwukrotnie) oraz 4 przełęcze. Razem zatem zwiedzono w Wysokim Atlasie 72 szczyty i turnie oraz 40 przełęczy. Trzykrotnie zwiedziła wyprawa polska: Dżebel Tubkal i Dżebel Amcharas n'Igliua, dwukrotnie m. i. Dżebel Amsod, najwyższy w Masywie Wschodnim, Dżebel Tinerget, najwyższy w Masywie Zachodnim, oraz 4-tysięczny Dżebel Assif n'Timellilt. W czasie pochodów i przemarszów przebyto w Masywie Środkowym ok. 70 km drożyn górskich (pieszo), a w Masywie Wschodnim ok. 210 km (na mulach) i w Masywie Zachodnim ok. 120 km (na mulach). Dróg alpinistycznie bardzo trudnych zdobyto 5 (pd.-wsch. grań i pn.-wsch. ściana Amcharas n'Igliua, pn. ściana Likumt, pn. grań Inchemara Zachodniego i wsch. grań Turni Igenuan), dróg trudnych pokonano 9 (w. na Tikint n'Uanas, pn.-zach. ściana Tubkalu, pn.-wsch. grań Assif n'Timellilt, grań Turni Uanums, pn.-wsch. grzęda Uenkrimu Północnego, pd.-zach. grań Amcharas n'Igliua, pn. ściana Tinergetu, pn.-wsch. ściana Ras Mulej Ali i pn. ściana Ars-zeimu) pozatam innych dróg wspinaczkowych przebyto 18; reszta przypada na drogi technicznie łatwe.

W wyniku wyprawy poznano Wysoki Atlas jak żadna z dotychczasowych ekspedycji, nie wyłączając ogólnej penetracji francuskiej, i przygotowano materiały do Przewodnika po tych górach.

2. WYNIKI NAUKOWE.

Wyprawa przeprowadzona była przede wszystkim pod kątem widzenia alpinistyczno-turystycznym, dla którego czynności naukowe stały na planie ubocznym. Pomimo tego wykonano dwa szkice terenu, dotychczas nieskartografowanego wzgl. skartografowanego zgruntu fałszywie. W ten sposób przyczyniono się do zapalenia wstępnego dotychczas istniejących na mapach Atlasu zupełnie białych plam, względnie do poprawienia kawałków mapy zupełnie fantastycznych. Szkice te re-produkujemy (wysokości mierzono aneroidem). Ponadto zebrano materiały petro-

graficzne dla użytku uniwersytetów: Krakowskiego i Poznańskiego oraz zebrano próbki gleb dla badań gleboznawczych w Uniwersytecie Jagiellońskim. Z szeregu odkryć geograficznych zasługują na szczególną uwagę trzy: a) zbadanie nieoznaczonych na mapie terenów części dorzecza górnej Tessaut, b) odkrycie źródeł tej wybitnej rzeki marokańskiej, i wreszcie c) stwierdzenie, że w Ichil M'Gun znajduje się całe gniazdo wierchów 4-tysięcznych.

3. WYNIKI PROPAGANDOWE.

Wyniki propagandowe wyprawy okazały się najzupełniej zadowalające i w całej pełni raz jeszcze wykazały wartość propagandową górskich wypraw egzotycznych. Ponieważ komitet organizacyjny wyprawy nie zawarł żadnej umowy dziennikarskiej o wyłączność sprawozdań, członkowie ekspedycji wysyłali prywatnie swoje korespondencje niemal do wszystkich dzienników polskich. Nie jesteśmy w możności, choćby ze względu na brak miejsca, ogłosić pełnego zestawienia artykułów na temat wyprawy, których ogółem ukazało się w prasie polskiej ok. 140 nie licząc mnóstwa drobniejszych notatek, telegramów i t. p. Podajemy tylko ogólny ich bilans:

- 1) «Gazeta Polska» (Warszawa) — pomiędzy 7 kwietnia a 7 września 18 opisów J. A. Szczepańskiego;
 - 2) «Ilustrowany Kurjer Codzienny» (Kraków) — pomiędzy 23 czerwca a 10 sierpnia 6 opisów K. Piotrowskiego i pomiędzy 17 sierpnia a 19 października 6 opisów J. K. Dorawskiego. To samo pismo ogłosiło ponadto na wiosnę i w lecie kilka dłuższych redakcyjnych informacji o wyprawie;
 - 3) «Polska Zachodnia» (Katowice) — pomiędzy 23 czerwca a 6 września 11 opisów J. Gołcza;
 - 4) «Kurjer Poranny» (Warszawa) — pomiędzy 4 czerwca a 19 października 12 opisów B. Chwaścińskiego;
 - 5) «Dziennik Poznański» (Poznań) — pomiędzy 27 czerwca a 26 października 9 opisów J. Wojsznisa;
 - 6) «Kurjer Warszawski» (Warszawa) — pomiędzy 27 czerwca a 19 października 10 opisów Z. Korosadowicza;
 - 7) «Dziennik Bydgoski» (Bydgoszcz) — pomiędzy 30 września a 11 listopada 6 opisów J. Kiełpińskiego;
 - 8) «Polonia» (Katowice) — pomiędzy 7 października a 18 listopada 6 opisów J. Kiełpińskiego;
 - 9) «Tygodnik Ilustrowany» (Warszawa) — pomiędzy 21 października a 11 listopada — 2 relacje J. A. Szczepańskiego;
 - 10) «Iskry» (Warszawa) — w listopadzie 3 relacje Z. Korosadowicza;
 - 11) «Sprawy Morskie i Kolonialne» (Warszawa) — zeszyt za czwarty kwartał 1934 r.: obszernie, ilustrowane sprawozdanie J. Wojsznisa;
 - 12) J. A. Szczepański pisał pozatem o wyprawie w «Przeglądzie Sportowym» (Warszawa), «Polsce Zachodniej» (Katowice), «IKC» (Kraków) i «Dzienniku Poznańskim» (Poznań);
 - 13) Z. Korosadowicz pisał pozatem o wyprawie w «Świecie» (Warszawa) i «Wiadomościach Geograficznych» (Kraków);
 - 14) W ciągu lata pisali pozatem o wyprawie: J. Czoponowski («Polska Zachodnia», Katowice), Z. Dąbrowski («Kurjer Warszawski»), T. Kiełpiński («Dziennik Bydgoski», «Polonia», «Dzień Kowieński»), W. Olszewski («Wiadomości Turystyczne», Warszawa), J. Orenburg («Polska Zbrojna», Warszawa), J. K. Petecki («Czas», Kraków) i i.;
 - 15) Spośród wydawnictw, związanych z P. T. T., pisały o wyprawie «Wierchy» z 1934 r. (str. 191—193), «Taternik», XVIII, 121—128 i «Przegląd Turystyczny», nr. 9 i 10;
 - 16) Liczne informacje o wyprawie (także nadawane przez PAT) ukazywały się zresztą w całej prasie, a wzmianki o niej przynosiły nawet takie pisma jak «Głos Polski», wychodzący w Buenos Aires, i «Petit Jurassien», wydawany w Moutier w Szwajcarii. Ogółem liczba dziennikarskich wzmianek wynosi pewnością ponad 1000 pozycji;
 - 17) Dwa główne dzienniki marokańskie, «La Vigie Marocaine» i «Le Petit Marocain», ogłosiły w lecie ogółem 11 artykułów na temat działalności wyprawy w Atlasie. Ewidencji innych głosów zagranicznych nie udało się przeprowadzić. w każdym razie były one wcale obfite.
- Osobno należy tu uwzględnić przygotowane do druku — wzgl. już w druku znajdujące się — wydawnictwa książkowe na temat wyprawy, których omówienie wykracza poza zakres niniejszego sprawozdania.

Również osobno należy tu wymienić odczyty, które w różnych miastach Polski wygłaszał J. K. Dorawski, a także L. Gorski i Z. Korosadowicz. Zagranicą wygłosił 2 odczyty J. Golcz. Ogółem odczytów wygłoszono ok. 15.

KOMITET ORGANIZACYJNY I KIEROWNICTWO
POLSKIEJ WYPRAWY W WYSOKI ATLAS 1934 R.

WYPRAWA W TERENIE

Teren górski Wysokiego Atlasu jest krainą pierwotną w sensie turystycznym. Znaczy to, że zwiedzający ten teren jest zdany wyłącznie na własne siły i zasoby. Wprawdzie w Centralnym Atlasie Marrakeszu rozpoczęto już gospodarkę turystyczną przez wybudowanie dwóch schronisk, ale dla dłuższego pobytu większej karawany — jak np. nasza — nie miał ten fakt żadnego znaczenia. Ta grupa Atlasu jest tylko znacznie łatwiej dostępna i szybciej osiągalna. Nie trzeba specjalnego pozwolenia władz — wystarczy jeden dzień drogi z Marrakeszu autobusem a potem na mule lub pieszo. Nieporównanie trudniejsze podróżniczo są grupy Atlasu Wschodnia (Ichil M'Gun) i Zachodnia, których osiągnięcie zabrało nam pięć wzgl. trzy dni drogi. No i wymagało pozwolenia władz wojskowych, a nawet eskorty.

Taktyczne przeprowadzenie podróży i obozowania było we wszystkich trzech fazach wyprawy takie samo. Cała wyprawa udawała się jaknajszyszym marszem w głąb gór, gdzie zakładano obóz główny tak wysoko, by można było zeń osiągnąć okoliczne szczyty w jednym dniu. Z obozu głównego dokonywały poszczególne grupy jedno, dwu i trzydniowych wypadów. Po wyeksploatowaniu turystycznych problemów okolicy przenoszono obóz główny w inne miejsce.

Technicznie przeprowadzano podróż w ten sposób, że karawana mulów i koni (turyści i eskorta jechali wierzchem — mulnicy szli pieszo) wyruszała zwykle o 7-mej lub 8-mej rano, po czterech do pięciu godzinach marszu urządzano dwugodzinny postój, poczem znów cztery godziny marszu. Około godz. 18-tej rozwijano obóz. Turyści spali w namiotach — mulnicy pod gołym niebem. Tak samo było i w obozach głównych.

Aby sprostać swemu zadaniu musiała mieć wyprawa odpowiedni co do jakości i ilości ekwipunek oraz zapasy.

a) **Ekwipunek podróżniczy.** Wielkie, numerowane worki z żaglowego płótna (wymiarów 130 × 85 cm) mieściły w sobie cały ekwipunek wyprawy. Waga worków naładowanych wynosiła po około 30 kg. Swoje rzeczy osobiste każdy uczestnik miał spakowane w zwykłym worku turystycznym, który w całości wkładany był do worka jukowego. Uczestnicy używali w podróży zwyczajnego lekkiego ubioru turystycznego z tą modyfikacją, że jako nakrycia głowy stosowano helmy tropikalne — nogi zaś obute były w lekkie trzewiczki. Przy sobie na mule trzeba było mieć tylko manierkę na wodę i aparat fotograficzny oraz... rewolwer systemu «Nagant».

Żywność spakowana była w paczki drewniane różnych wymiarów, o ciężarze od 10 kg do 30 kg.

b) **Ekwipunek obozowy.** Wyprawa dysponowała czterema namiotami. Trzy namioty były domkowe firmy «Kera» (dwa czteroosobowe i jeden trzyosobowy) — czwarty, zresztą rzadziej używany, to wysokogórski namiot dwuosobowy. Namioty naogół dobrze spełniły swe zadanie; tylko bambusy rusztowania okazały się za słabe na silne wichry. Wszyscy uczestnicy posiadali śpiwory. Za wyjątkiem Masywu Zachodniego, gdzie panowały wielkie upały, użycie śpiworów było konieczne spowodu chłodnych nocy. Każdy namiot zaopatrzony był w moskitjerę. Niestety moskitjery, kupione w Marrakeszu, okazały się nieco za małe, tak że spełniały swą rolę ochronną nieświetnie.

Naczynie kuchenne składało się z dwóch garnków 10-cielitrowych, sagana 5-cielitrowego, kompletu trzech menażek aluminiowych (dwie głębokie i jedna płaska) $\frac{1}{2}$ litrowych oraz kubka $\frac{1}{4}$ litr. na każdą osobę, odpowiedniej ilości noży, widełców i łyżek. Zaznaczyć trzeba, że doszliśmy do przekonania, iż praktyczniej-
 (z wyjątkiem wysokich obozów w grupie Tubkału) na ognisku z suchorostów. Wy-
 prawa posiadała jednak 2 duże primusy naftowe.

Do oświetlania obozu używano latarek świecowych i elektrycznych.

c) **Ekwipunek wysokogórski** posiadał każdy uczestnik analogiczny do używanego w lecie w Tatrach — liny, haki, karabinki, mlotki, czekany. Ekwipunek ten nie był potrzebny jedynie w Masywie Wschodnim.

Jako sprzęt biwakowy posiadała każda grupa płachtę Zdarsky'ego. Do gotowania używano maszynek spirytusowych. Niezbędne były manierki na wodę w ilości conajmniej 1 litr na osobę.

Specjalny problem stanowiło nakrycie głowy, ponieważ hełm tropikalny przy wspinaczce okazał się zupełnie nieodpowiedni. Najlepszym sposobem zabezpieczenia się przed działaniem słońca okazało się sporządzenie z ręcznika rodzaju turbana czy haika.

d) **Żywność.** Miejscem jej zakupu był Marrakesz. Gros jej stanowiły konserwy w b. wielkim wyborze i b. tanie. A więc konserwy rybne, mięsne, jarzynowe (kapusta, szparagi, groch), z homarów i krabów, owocowe (gruszki, wiśnie, śliwki, ananasy). Dalej najróżniejsze sery, w małej ilości twarda kielbasa (salami), słonina. Jako tłuszcze masło, doskonale się przechowujące, bo na postojach zanurzane w wodzie, i oliwa. Zamiast chleba doskonale suchary i keksy. Pozatem cukier, mąka, makaron i kasze — na deser czekolada i cukierki. Surowe produkty: jabłka, cytryny i cebula. Jako napoje kakao, mleko kondensowane, herbata, owomaltyna. Dla urozmaicenia menu nabywaliśmy już w górskich osiedlach kury i jaja, jedyne zresztą produkty, jakie można było dostać.

Warto zanotować jako charakterystyczne dla Marokka curiosum, że żywność ta pochodziła z całego nieomal świata: «corned beef» argentyński, ananasy z Singapore, kraby z Japonji, homary z Kanady, kapusta z Danji, sardynki portugalskie, cytryny hiszpańskie, suchary i keksy angielskie, mleko kondensowane holenderskie, etc.

e) **Różne.** Oczywiście musiała mieć wyprawa dość kompletną apteczkę. Główną rolę spośród wszystkich jej leków odegrały środki sanujące zaburzenia trawienia oraz różne maści, chroniące skórę przed oparzeniem słonecznym względnie leczące jego skutki.

Niemalą był też ekwipunek fotograficzny, jeśli się zważy, że dysponowaliśmy siedmioma kamerami różnej wielkości i systemu.

Całość zapasów podzielona była na dwa działy: ekwipunek i żywność, osobno zarządzane przez dwóch specjalnie zajmujących się nimi członków wyprawy.

JAN K. DORAWSKI

NOTATKI

Nasze ilustracje. Podajemy bliższe objaśnienia niektórych naszych ilustracji, mogące zainteresować czytelników:

1) fotografia W głębi Ait Mizan została wykonana z dolnego obozu ekspedycji w tejże dolinie (2340 m) i ukazuje grań Uenkrimu Północnego z ostro zaznaczającą się turnicą Tadat;

2) w pn. ścianie Tikint n'Uanas stoi L. Gorski, siedzi J. A. Szczyński;

3) Dżebel Tachrat sfotografowany jest od pn.-zach., z dolnego obozu wyprawy polskiej w Ait Mizan;

4) na fotografii Amcharas n'Igliua lewa grań jest pd.-zach. (boczna), a prawa pd.-wsch. (główna). Obie zostały zrobione przez wyprawę, podobnie jak i reprodukowana osobno pn.-wsch. ściana Amcharas;

5) na przyjęciu w kazbie u sziura w Ait Attik są widoczni J. Golcz, L. Gorski, B. Chwaściński i J. Wojsznis. W oknie na podwyższeniu siedzi Thami, brygadjer, dowódca eskorty. Naprzeciw Europejczyków siedzi sziur z Ait Attik i żołnierz Mohammed. W głębi stoi brat sziura;

6) obrazek rodzajowy naparzania herbaty marokkańskiej zdjęty został we wsi Amdros w Masywie Zachodnim. W pośrodku sierżant Belaid ben Ali;

7) z pn. ściany Ars-zeimu widać w głębi jeden z nienazwanych i niezdziedzonych szczytów na południe od Ras Mulej Ali. Na pierwszym planie J. Wojsznis;

8) Tubkal od południa zdjęty jest z jego pd.-zach. grani, z wys. ok. 4050 m. W pośrodku ściany silnie uwydatnia się pd. żleb, zwiedzony przez polską wyprawę. Na zdjęciu na pierwszym planie J. Kiełpiński i J. A. Szczepański (w «haiku» na głowie);

9) Na wierzchołku Tubkalu stoją, dnia 18 czerwca 1934 r., L. Gorski, Z. Korosadowicz i B. Chwaściński;

10) fotografia Turni Aferrui, aż do 1934 r. dziewiczej i nienazwanej, dokonana została od zach., spod pn. ściany Tikint n'Uanas. Na śniegach Doliny pod Imus-zerem stoją L. Gorski i J. A. Szczepański;

11) Zdjęcie Dżebel Maaral wykonane zostało od strony Dżebel Ochri. Stoją J. Kiełpiński i J. A. Szczepański;

12) Ras Mulej Ali zdjęty został od pd.-wsch., z wierzchołka Ars-zeimu. Szczyt Muleja Ali zwrócony jest ku widzowi swą dziewiczą dotychczas ścianą wsch. Na lewo od wierzchołka ciągnie się niezdziedzona dotychczas grań pomiędzy Ras Mulej Ali a Asziud, dwa widoczne na zdjęciu wzniesienia są dotychczas niezdobyte i nienazwane. Na prawo od wierzchołka opada boczne wsch. żebro, poza którym dopiero znajduje się zdobyta przez polską wyprawę największa pn.-wsch. ściana szczytu,

Wydawnictwa książkowe o polskiej wyprawie. Nawiązując do wzmianki na str. 50-jej notujemy, że niezależnie od niniejszej publikacji komitetu organizacyjnego i kierownictwa wyprawy, mają się również ukazać i inne wydawnictwa książkowe, poświęcone wyprawie w Atlas. W szczególności T-wo Wyd. «Rój» zapowiedziało wydanie książki J. A. Szczepańskiego, ponadto mają wyjść z druku opisy przegód i działań wyprawy w opracowaniu popularnym dla młodzieży.

SPIS TREŚCI

	Str.
KAZIMIERZ PIOTROWSKI: Egzotyzm i gościnność	3
JAN A. SZCZEPAŃSKI: Dżebel Tubkal	4
ZBIGNIEW KOROSADOWICZ: Dżebel Amcharas n'Igliua	5
STANISŁAW GROŃSKI: Dżebel Inchemar	7
JERZY GOLCZ: Jak to było naprawdę, albo Dżebel Likumt	9
JERZY GOLCZ: A jak się o tem pisze, albo Ichil M'Gun	11
LUDWIK GORSKI: W kenjonach Arusu	13
JUSTYN T. WOJSZNIS: Dżebel Tinerget	16
JAN K. DORAWSKI: Ludzie i rzeczy	19
JAN A. SZCZEPAŃSKI: Z dni górskich	24
JAN A. SZCZEPAŃSKI: Wysoki Atlas	28
KOMITET ORGANIZACYJNY I KIEROWNICTWO: Przygotowanie, przebieg i wyniki wyprawy	35
JAN K. DORAWSKI: Wyprawa w terenie	51
Notatki	52

SPIS ILUSTRACYJ POZA TEKSTEM

	Str.
JAN K. DORAWSKI: W głębi Ait Mizan	przed tytułem
JAN K. DORAWSKI: W północnej ścianie Tikint n'Uanas	4—5
JAN KIELPIŃSKI: Północno-wschodnia ściana Amcharas n'Igliua	4—5
JAN K. DORAWSKI: Agudel n'Mzier i Amcharas n'Igliua z Tikint n'Uanas	8—9
JAN K. DORAWSKI: Dolny obóz polski w Ait Mizan	12—13
JAN K. DORAWSKI: Dżebel Tachrat z Ait Mizan	12—13
JAN KIELPIŃSKI: Amcharas n'Igliua	16—17
JAN K. DORAWSKI: Na północnej ścianie Ars-zeimu	24—25
JAN K. DORAWSKI: Tubkal od południa	32—33
JUSTYN WOJSZNIŚ: Na wierzchołku Tubkalu	36—37
JAN K. DORAWSKI: Widok z Tubkalu na gniazda Likumtu i Inchemara	36—37
JAN K. DORAWSKI: Hala Ikis, w głębi pasmo Amsodu	44—45
JAN K. DORAWSKI: Dżebel Maaral	44—45
JERZY GOLCZ: Masyw Ichil M'Gun Wysokiego Atlasu	48—49

